A. KALLAS

2 SZTUKI SZUKAJĄ DYREKTORA TEATRU

A. KALLAS

DWIE SZTUKI SZUKAJĄ DYREKTORA TEATRU

Prof. dr. Józefowi Ujejskiemu
z prośbą o pamięć przyjazną
A. Kallas

WARSZAWA 1934
SKŁAD GŁÓWNY W DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ

Odbito egzemplarzy numerowanych 1 tysiąc.

Nr. 998

Z DRUKARNI „DZIENNIKA POLSKIEGO", LWÓW, CICHA 5.

TEJŻE AUTORKI WYSZŁY W KSIĄŻKOWEM WYDANIU:

Pośród bezdroży, r. 1903, powieść odznaczona na konkursie „Kurjera Codziennego" w Warszawie w roku 1900.
On i oni wszyscy, powieść 1910 r.
Ona i oni, powieść, wydanie trzecie 1923 r.
Córki marnotrawne, powieść 1913.
Dziecko, powieść 1914 r.
Kobiety uczciwe, powieść 1917 r., wydanie trzecie.
Czyściec, powieść 1921 r.
Tajemnica domu towarowego, powieść, 1922 r.
Małka Szwarcenkopf, powieść przekomponowana z dramatu Gabrjeli Zapolskiej r. 1924.
Świat obiecany, powieść r. 1927.
Zapolska, powieść biograficzna r. 1930.

Wśród swoich, sztuka ludowa r. 1905, odznaczona na konkursie Wydziału Krajowego we Lwowie w r. 1901.
Nędza, dramat w 3 aktach 1905 r.
Żona czy kochanka, komedja w 3 aktach 1909 r.
Wesoła pani, sztuka w 3 aktach r. 1905.
Odszczepieńcy, dramat w 4 aktach 1909 r.
Powtórne małżeństwo, dramat w 5 aktach 1910 r.
Jan Waligóra, dwa akty dramatu z epilogiem r. 1931.
Meir Ezofowicz, dramat w 4 aktach, przekomponowany z powieści Elizy Orzeszkowej.

POZA DOBREM I ZŁEM

SZTUKA W 3 AKTACH NAPISAŁA ANIELA KALLAS

OSOBY:

ROMAN CZERNIAK, *przemysłowiec*
MARJA, *jego żona*
STEFA } *ich córki*
LILI }
ZBYSZEK BOGUCKI
PAWEŁ WIRSKI
ZOFJA ŁĄCKA
BRONIA KLEINÓWNA
DOKTÓR
NASTKA GRZĘDZIELÓWNA
WALEK NOSACZ
SCHREIBER
ŻYCZKOWSKI
POKOJÓWKA
WOŹNY

Dzieje się współcześnie u Czerniaków.

A K T I.

Fragment ogrodu. W głębi, w dalekiej perspektywie, kominy fabryczne i kolonja robotnicza. Z lewej: (od widowni) furtka. Z prawej: tarasowe wejście do willi.

S C E N A 1.

LILI *potem* STEFA

LILI

(wybiegła z willi i dopadłszy drzewa w ogrodzie, obejmuje dłońmi pień; cichy jej płacz przechodzi w łkanie coraz gwałtowniejsze)

STEFA

(wychodzi z willi, w każdej ręce trzyma rakietę tenisową; powoli schodzi po stopniach, rozgląda się po ogrodzie; nagle usłyszała płacz i kieruje się w stronę Lili)

Ulżyj sercu i wypłacz się... Tak... — Pomówimy z sobą... — Przedewszystkiem trzymaj tu twoją rakietę... Zaraz pójdziemy z naszymi chłopcami grać w tenisa... — Czy sądzisz, że ja mojemu Zbyszkowi nie miałabym również wiele do zarzucenia?... Czekaj... przypudruję ci nosek, bo się zaczerwienił... Poprawię cię... Spokój... bo nie uda się operacja...

LILI

Wszystko mi jedno...

STEFA

Otóż to właśnie!... Zamiast powoli wychować sobie Pawełka na męża, zręcznie lawirować między manierami

damy, a kokoty, tkwisz w tem głupiem narzeczeństwie, jak wino w butelce! Raz omdlewająco: „Pij najdroższy”.. To znów: „Nie ruszaj!”...

LILI

To się skończy... To się musi skończyć...

STEFA

Nie radzę ci zrywać z Pawłem. Mówi się ogólnie, że robimy świetne partje... Istotnie! Któżby nie zazdrościł nam takich ładnych i bogatych chłopców!... A bądź pewna, że nasi chłopcy zrobią karjerę... Są dostatecznie sprytni, a rodzina ich wie, gdzie należy zapukać... U nas zaś, co? Mama nigdy nie dbała o stosunki towarzyskie; ojciec wcale się o nas nie troszczy!... Po ostatniej aferze z Klotyldą Janicką, opinja naszego domu... jak wiesz... nie jest najlepsza...

LILI

Przestań!...

STEFA

Przypominam ci tylko, że nie możemy tak bardzo wybierać, jeśli chcemy wyjść zamąż...

LILI

Wcale nie muszę wyjść zamąż...

STEFA

Powinno się wyjść zamąż!... Jakże inaczej „panny Czerniakówne“ byłyby w zgodzie ze sobą i ze społeczeństwem?... Pozatem... kobieta niezamężna, w obecnym budżecie społecznym, to pozycja dwuznaczna.

LILI

A ja ci owszem wykażę, że kobieta dzisiejsza może nie wyjść zamąż, mieć dziecko, wychować je na oczach świata, i zasłużyć sobie na szacunek i uznanie...

STEFA

Co?... Co?... Co ty pleciesz?...

LILI

Przecie to twoja zasada, że kwestja seksualna nie powinna zaciężyć na naszem życiu.

STEFA

No, tak... Ale nie dziecko i pieluszki!... Słuchaj!... Oczy bym ci wydrapała, gdybyś zrobiła to głupstwo!... — I czegóż stoisz tu z miną: „Żegnajcie mi niwy ojczyste!”...

LILI

Właśnie pożegnam się już niedługo z tem wszystkiem... Tutaj zostać nie chcę... Na razie przynajmniej.

STEFA

Lili!... Gadaj zaraz co się stało?...

(Z willi wychodzą: Zofja, Marja, Zbyszek i Paweł; ci dwaj z rakietami tenisowemi)

SCENA 2.

ZOFJA—LILI—STEFA—MARJA—ZBYSZEK—PAWEŁ

ZOFJA

Kusicie mnie panowie, i gotowa jestem ulec!

PAWEŁ

Cudownie!... Mógłbym powiedzieć jutro moim znajomym w mieście, że poddała się nam niezdobyta twierdza!... Nic zdrożnego, pani dobrodziejko!... Powie się: Wczoraj, na korcie tenisowym, miałem zaszczyt grać ze znakomitą artystką, Zofją Łącką...

ZOFJA

Nic z tego!... Zostaję z moją przyjaciółką tu w ogrodzie.

ZBYSZEK

Zasłoń twarz — i wstydź się! *(zasłania Pawłowi twarz rakietą)*

MARJA

(rozgląda się po ogrodzie) Gdzie są dziewczęta?...

STEFA

Gotowe —! — *(do Lili)* Zapanuj nad sobą nareszcie i chodź...

ZOFJA

Prześliczne są twoje córki, Marjo.

ZBYSZEK

Nieprawdaż, że moja Stefa piękniejsza... ?... Iskra!... Żywioł nieposkromiony...!...

STEFA

Nie krzyczy się tak, mój drogi... O tem mówi się ci-chu-tko...

PAWEŁ

A zatem, droga Lili, cofamy się na pozycje dogodniejsze.

ZBYSZEK

(do Lili) Przegrał tutaj z kretesem... żebyś o tem wiedziała...

STEFA

(do Zofji) Okazuje pani naszej mamie dużo serdecznych uczuć... Doprawdy, muszę panią za to pocałować!...

ZOFJA

Proszę!...

STEFA

...Ach, jakże ładnie umie pani całować!... Nie chciałabym w pani mieć rywalki!...

ZOFJA

Nie byłoby tak źle... Na pierwszy alarm zawsze gotowa jestem ustąpić...

STEFA

Jabym nie ustąpiła!... Lili... pocałuj panią Łącką... tak!... Chłopcy!... Ukłon wersalski!... A teraz... chodźmy! *(włożyła rękę pod ramię Lili i uprowadza ją. Za nią idą Zbyszek i Paweł. Odchodzą)*

SCENA 3.

MARJA — ZOFJA *potem* LILI.

MARJA

Cieszę się, żeś nie poszła z nimi... — ... Widzisz, moja droga, staję się egoistką w miarę, jak przybywa mi lat... ... — Dopóki byłam młodą, dawałam, dawałam, wciąż dawałam!... Nieobliczalna rozrzutnica!... A teraz... jakbym zewsząd zgarnąć chciała prowizję od kapitału, który przecie został rozdany, a nie wypożyczony na procent!...

ZOFJA

Nie znam tego uczucia... Dawać aż tyle, by nic dla siebie nie zostawić?... Tak krótko stosunkowo żyjemy, że to nonsens prawie nie żyć dla siebie, lecz dla drugich...

MARJA

W takim razie... ja może za wiele wymagam od ciebie w imię przyjaźni... Niewesoło u mnie w domu.

ZOFJA

Bez skrupułów, droga Marjo! Zaprosiłaś mnie... bardzo chętnie przyjechałam... miło mi z tobą... a jak mi się tu coś nie będzie podobało, odjadę... — Ty zaś, nie miej wtedy żalu do mnie, bo taka już jestem...

MARJA

Jesteś dobra i wyrozumiała... Potrafiłaś także „przefasonować“ mnie trochę... Uległam twojej namowie... A córki moje pewnie cichaczem wyśmiewają się z tego...

ZOFJA

Bardzo są zadowolone... Taka ładna, jak ty, kobieta, nie powinna była zrezygnować... Rezygnacja, to najgorszy towarzysz człowieka...

MARJA

Nie zrezygnowałam... Owszem! Dźwignęłam się... Wyeliminowałam tylko z mojego życia marzenie o szczęściu osobistem... i... mężczyznę — ...

ZOFJA

...Droga Marjo... A jeśli to wszystko, co wyrzuciłaś z twojego sterowca, nie było... balastem?... Jeśli to potrzebne tobie do życia?

MARJA

...Odpowiem ci... Wprawdzie nie lubię się zwierzać... ale jesteś tu... widziałaś niejedno, co musiało cię zastanowić... może zresztą coś już słyszałaś... Ludzie w takich wypadkach nie żałują sobie...

ZOFJA

Nie mów o tem, jeśli to nie ma być ulgą dla ciebie. Nieraz żałujemy takich zwierzeń...

MARJA

...Nie znasz mojego męża, co?... Nie spotkałaś go w Abbazji?...

ZOFJA

Już parę razy o to pytałaś...

MARJA

Przepraszam cię...

ZOFJA

Twoje córki pokazywały mi najnowsze jego fotografje... Widziałam także w twoim gabinecie jego portret. Bardzo piękny pan... wytworny... Ciekawy, drażniący ma uśmiech.

MARJA

Zapewnie ten uśmiech tak działa na kobiety... Miał ich niemało!...

ZOFJA

A czy nie był dobrym i uważającym dla ciebie?...

MARJA

Owszem... tak...

ZOFJA

Nie można winić kogoś za to, że już nie kocha, jak kochał kiedyś... że... podobają mu się także inne kobiety...

MARJA

Przepraszam cię... Zdaje mi się, że miałaś męża—?—

ZOFJA

Byłam zamężna... miałam dziecko... Umarło... Po dwu latach mąż porzucił mnie. — Ciężko było wtedy żyć. — Wreszcie przypomniałam sobie przestrogę: „Pocóż płakać za skoszonym fiołkiem, skoro już kłania się wysmukły narcyz"...!

MARJA

Nie rozumiesz mnie...

ZOFJA

Rozumiem cię doskonale!... Postępujesz konsekwentnie, w myśl twoich zasad, które... mojem zdaniem, nie dają się zmieścić bez reszty w obecnem łożysku naszego życia... Życie poszło znacznie dalej, kochana Marjo!...

MARJA

Może masz słuszność... że życie poszło dalej... Ja zostałam na miejscu... sama...

LILI

(przybiegła z rakietą w ręku) Mamo...

MARJA

Przepraszam cię, Zofjo... *(zbliżyła się do Lili, stojącej przy furtce)* Co się stało? Jakżeś ty zmieniona, moja Lili!... *(pieszczota)*

LILI

Przybiegłam, żeby cię uprzedzić... Tylko nie przerażaj się... Ojciec przyjechał.

MARJA

Jego się nie spodziewałam...

LILI

Ale nie okażesz mu tego!...

MARJA

Dobrze, moje dziecko... Idziemy przywitać go...

(Z willi wyszła pokojówka, i przebiegłszy przestrzeń ogrodu, znika za furtką. W głębi ukazał się Roman w podróżnem ubraniu. Równocześnie nadbiegła Stefa z rakietą w ręku i pierwsza wita ojca, rzucając mu się na szyję)

SCENA 4.

STEFA — MARJA — ZOFJA — LILI — POKOJÓWKA
ROMAN.

STEFA

Jak się masz, ojcze marnotrawny!... Że też ty zawsze tak niespodziewanie przyjeżdżasz!...

LILI

Witam cię, tatusiu!...

ROMAN

Jak się macie?!... *(pocałował córki; Marję całuje w rękę z pewnem roztargnieniem)*

POKOJÓWKA

(ukazuje się z małą walizką i czeka na rozkazy)

MARJA

Przyjechałeś na krótko, widzę... z małą tylko walizką...

ROMAN

Kufry podróżne zostawiłem na stacji kolejowej u portjera. — Poślesz po nie z łaski swojej... — Dziewczęta rozwinęły się wspaniale!... Zwłaszcza Stefa!... No, chodźmy dalej... Któż tam siedzi na ławce? *(zakłada monokl)*

LILI

Przyjaciółka mamy jeszcze z czasów pensjonarskich. Jest u nas w gościnie.

STEFA

Aktorka Zofja Łącka... Znasz ją?...

ROMAN

(stara się ukryć wrażenie. Zdjął czapkę i płaszcz, oddał to pokojówce, poprawił krawat) Któżby nie znał naszej znakomitej artystki, jeśli już nie ze sceny, to z rozlicznych illustracyj... *(zbliżył się do Zofji i całuje ją w rękę)* Czerniak...

ZOFJA

(od chwili wejścia Romana, usiłuje zapanować nad sobą)

ROMAN

Zostaję tu z wami, moje panie — ... *(do pokojówki)* Butelkę chianti i kieliszki.

MARJA

Może co innego zadysponujesz? *(poznała, że już pil)*

ROMAN

Prosiłem o butelkę chianti, Maryna.

MARJA

(do pokojówki) Przynieś.

POKOJÓWKA

(odchodzi do willi)

ROMAN

A wy, dziewczęta, wracajcie na kort tenisowy. — Widziałem, przejeżdżając tamtędy, że jesteście w towarzystwie...

STEFA

To nasi chłopcy.

ROMAN

Aha!... Tak...!... Zaręczone jesteście... Marnotrawny ojciec byłby o tem zapomniał... Później przedstawicie mi tych tenisowych młodzieńców. Zdaleka dobrze się prezentują. Zobaczymy jak wyglądają z bliska... Do widzenia! *(ręką potrząsa na znak pożegnania)*

(Lili i Stefa odchodzą przez furtkę; pokojówka przyniosła na tacce wino i trzy kieliszki, postawiła na stole i, dygnąwszy, odchodzi do willi)

SCENA 5.

ROMAN — MARJA — ZOFJA.

ROMAN

(powoli nalewa wino)

MARJA

Dla mnie nie nalewaj... dziękuję.

ZOFJA

Dziękuję... Nie piję wina o tej porze.

ROMAN

Pozwolicie więc panie, że ja tylko... *(podnosi kieliszek, przypatruje się winu)* Chianti... — Przypomina mi Włochy i piękny jeden epizod. *(zaczyna pić, a następnie, podczas opowiadania, dolewa i pije)* Suszak... *(do Marji)* Tak się nazywa wioska na granicy Włoch i Jugosławji. — Krótka jazda autokarem z Abbazji po szosie równej, jak stół... Rząd włoski nie pozwolił na otwarcie domu gry w Abbazji; więc goście tamtejsi i z sąsiedniej Lovrany, jeżdżą do Suszaku, gdzie sprytni Jugosłowianie w małym, białym domku urządzili ruletkę... Przy ruletce... damy w eleganckich toaletach...... panowie... jak chcą. — Spotkania bywają tam nieraz nadzwyczajne... Pani Łącka zna tę miejscowość — ? —

ZOFJA

Pamiętam Suszak.

ROMAN

To się chwali — ! —

MARJA

Wybacz Zofjo, że oddalę się na kilkanaście minut... muszę wydać dyspozycje.

ZOFJA

Ależ... proszę, byś się nie krępowała.

SCENA 6.

ROMAN — ZOFJA

ROMAN

(zaczyna mówić, gdy Marja jest jeszcze w obrębie ogrodu) Żona moja nietylko doskonale zna się na interesach, lecz jest także wzorową gospodynią. *(gdy Marja zniknęła w głębi willi, wstał i wyciągnął do Zofji ramiona)*

ZOFJA

....? Nie — ! —

ROMAN

...!...?... Czy dlatego, że nazywam się poprostu: Roman Czerniak?... Firma Czerniak i Spółka — .... Czyżby pani dla Romana Czerniaka mniej była łaskawą, niż dla „Nieznajomego" ze Suszaku?... — ... Taaak... — Nie liczyła pani na to, że spotkamy się jeszcze... — Mówiłem z panią o tem, że przebywam stale zagranicą. Jest tak wistocie. Od lat ośmiu jestem tylko gościem w domu. — Nic także nie wiedziałem o tej przyjaźni z moją żoną... Czemuż nie moja przyjaciółka?...

ZOFJA

(z humorem) Gram tylko w pierwszorzędnym zespole. Z nieznajomym ze Suszaku, choć to partner doskonały, mogłabym się tutaj zgrać haniebnie. — Unikam wstrząsów.

ROMAN

Nie chce pani ryzykować...?.. A... widziałem... szuka pani emocji... Choćby przy... ruletce...

ZOFJA

Sztafaż musi być odpowiedni... Czy pamięta pan, jakie przeźroczyste było powietrze nad Adryjatykiem?... Właśnie o tej porze, gdy zachodzi słońce...

ROMAN

A tutaj powietrze jest ciężkie i duszne... Słońca nie widać... Lecz pani portret i wsród tego tu „sztafażu" jest jasny i pogodny. Patrzę na twarz i postać pani, a sztafaż dookoła... mało mnie obchodzi... Czy... spacerując po ogrodzie... nie sama... wieczorem... uważa pani, by nie nadeptać trawy pod stopami?...

ZOFJA

Po cóż zbaczać z doskonale wyżwirowanej ścieżki?... Od rosy na trawniku, katar gotowy...!...

ROMAN

Ach, nie... — Nie wyobrażam sobie pani Łąckiej w takiem położeniu.

ZOFJA

Otóż to!... A więc... gdy nie można takiej ewentualności zapobiec...

ROMAN

Nie musi to być w ogrodzie... podczas rosy wieczornej...

ZOFJA

Zaczekamy. Może znowu... kiedyś... zagranicą... *(śmiejąc się, odchodzi prędko do willi)*

ROMAN

Ciekawa kobieta...

SCENA 7.

ROMAN — LILI *potem* WALEK

ROMAN

(do Lili) Gdzież wasi chłopcy? Mogą tu przyjść... Nie wiem, o czem mógłbym z nimi mówić, lecz prawda to, że mają zostać moimi zięciami... — ... Pozbawiony jestem uczuć familijnych kompletnie... Wyprany, przefarbowany i przenicowany z uczciwego ojca rodziny w utracjusza... *(pije)*

LILI

Nie mów tak... Wolałabym nie żyć i nie słyszeć tego wszystkiego.

ROMAN

A czy nie słyszałaś tego od matki?...

LILI

Nigdy mama nie mówi źle o tobie.

ROMAN

Jest w tem także system!... Jak zresztą we wszystkiem co ona robi!... Lecz widzisz, moje dziecko... ja może istotnie nie mam cnót na ojca rodziny. — Przyjeżdżam do was od czasu do czasu, bo wydaje mi się, że tam, gdzie mnie niema, jest lepiej i piękniej; a tam, gdzie ja jestem, jest źle. *(zamyślił się, odruchowo nalewa i pije)* Któż tam śpiewa? *(słucha)*

WALEK

To ja! Witam pana, panie szefie! *(potem ukłonił się Lili)*

ROMAN

Ach, to ty, Walku!... Chodź tu... bliżej!... Nie zapomniałeś dawnych piosnek!... Ładny masz głos... Chciałem cię wysłać w świat i zrobić z ciebie śpiewaka...

WALEK

Szkoda fatygi i pieniędzy!... Pijak jestem, prostak, nicpoń! Żadna nauka do łba nie idzie... i tak już od małego! Urwisz, ta i urwisz!...

ROMAN

...Pracujesz jeszcze w tartaku?...

WALEK

Zredukowany jestem —! — To fajniej się słyszy, niż bym powiedział, że wylali mnie z fabryki.

ROMAN

Kto?...

WALEK

A kto tu wszystkiem rządzi?.. Pani szefowa!..

ROMAN

Wrócisz do tartaku.

WALEK

Bez książeczki inspektor nie przepuści, a książeczkę odebrali w kancelarji.

ROMAN

Przyjdziesz do kancelarji jutro i książeczkę dostaniesz!

WĄLEK

A kto mi ją wyda?...

ROMAN

Ja!

WALEK

Dziękuję, panie szefie!

ROMAN

Napij się! *(podaje mu kieliszek wina)*

WALEK

Weselej będzie, gdy pan szef wrócił!... Na zdrowie!... Na szczęście!... *(wypił, odstawił kieliszek)* Dziękuję!...

ROMAN

Dużo tu takich jest zredukowanych?...

WALEK

A będzie ich teraz dziesięciu!...

ROMAN

Niech się do mnie zgłoszą ci, którzy wrócić chcą do pracy. Basta!... *(dał znak ręką, że może odejść)*

WALEK

Kłaniam się!... *(odchodzi i zaraz za bramą zaczyna śpiewać)*

SCENA 8.

ROMAN — LILI *potem* STEFA — PAWEŁ — ZBYSZEK.

LILI

Nie było cię tutaj znowu dwa lata... nie wiesz jak tu wygląda teraz, i chcesz z powrotem przyjąć ludzi, których mama wydaliła dla ważnych z pewnością powodów.

ROMAN

Matka twoja zawsze wolała sprowadzać obcych!

LILI

To nie obcy. Przecie to nasi... Mazurzy... — Tutejsi nie chcą porządnie pracować... Piją, awanturują się, wielu z nich uprawia sabotaż... Tych się wydaliło.

ROMAN

Zostaną bandytami, gdy nie dacie im zarobić...

(Paweł, Zbyszek i Stefa nadchodzą przez bramę z rakietami).

PAWEŁ

Czy nie przeszkadzamy?

ROMAN

Zbliżcie się panowie —

ZBYSZEK

Zbyszek Bogucki! *(ukłon)*

PAWEŁ

Paweł Wirski! *(ukłon)*

ROMAN

(podał im kolejno rękę) Długo już tu na wsi bawicie?

PAWEŁ

Od dwóch dni. — Dwa dni świąt wykorzystaliśmy jak najlepiej. Dziś, wieczornym pociągiem, wracamy do miasta... Moglibyśmy jechać w nocy, lecz Lili dzisiaj grymasi i tak wygląda, jakby się mnie pozbyć chciała czemprędzej.

(Lili i Stefa nie biorą udziału w rozmowie, spacerują po ogrodzie; jednak śledzą uważnie rozmawiających).

ROMAN

Taaak... Połączenie kolejowe z miastem bardzo dobre...

ZBYSZEK

Doskonałe! Ale my tu często samochodem... Ojciec mój ma Rolls-Royce'a, którym się pysznie jedzie. Czasem znów stąd wysyła się auto po mnie i po Pawła.

ROMAN

To pięknie. — Panowie zapewne przemysłowcy?

PAWEŁ

O tyle, o ile!... *(zbliżył się do Lili)*

ZBYSZEK

Mam zamiar poświęcić się służbie dyplomatycznej... o ile ojciec da pieniądze.... bo to kosztowna rzecz...

ROMAN

Ma pan więc bogatego ojca?

ZBYSZEK

Firma Józef Bogucki.

ROMAN

Wielki handel śniadankowy; znam...

ZBYSZEK

A ojca mojego pan zna?...

ROMAN

Przypominam go sobie. — Pamiętam jeszcze z czasów, kiedy jeździł trzęsącą się bryczką.

ZBYSZEK

Mój ojciec ma nadzieję...

ROMAN

Taak... ojcowie zawsze żywią najlepsze nadzieje w stosunku do synów.

ZBYSZEK

Sądzę zresztą, że posiadam niezłe warunki dla dyplomatycznej karjery... Znam także obce języki.

ROMAN

Podobno jeden z najtęższych dyplomatów współczesnych... no, mniejsza o jego nazwisko... poza angielskim, nie zna innego języka.

ZBYSZEK

Pewnie starej daty jegomość, który zaczął swoją karjerę od koncypientury gdzieś na prowincji. Ja i moje pokolenie patrzymy inaczej na te... mamuty. — Po cóż szczebel po szczeblu wstępować w pocie czoła po wysokiej drabinie, skoro odrazu można stanąć na szczycie!...

PAWEŁ

(zbliżył się do rozmawiających). *All right!*

ROMAN

Aha... Pan zapewne także taki tęgi w obcych językach — ? —

PAWEŁ

O tyle! o ile!...

ZBYSZEK

(zbliża się do Stefy i Lili)

ROMAN

(do Pawła) I ma pan zapewne także bogatego ojca?

PAWEŁ

Skąd pan już o tem wie?...

ROMAN

Tylko bogatym ojcom udają się tak synowie...

PAWEŁ

Ojciec mój, w przeciwieństwie do ojca Zbyszka, — jest skąpy, jak Harpagon.

ROMAN

Jak... kto?..

PAWEŁ

Harpagon... z komedji Bernarda Shaw.

ROMAN

(zaczyna się śmiać i śmieje się coraz serdeczniej)

LILI

(do Stefy). Słuchać nie mogę tego głupca!

ZBYSZEK

(zbliżył się do Pawła, klepiąc go po ramieniu) Moliera... chciałeś powiedzieć!...

PAWEŁ

Ależ naturalnie!... Chce się powiedzieć: Molier — a wymknie się: Bernard Shaw. Przecie ten pisarz daje zawsze doskonałą satyrę na stosunek rodziców do dzieci i... naodwrót...

ZBYSZEK

Winszuję ci!.. Wybrnąłeś szczęśliwie!.. Lecz proszę cię, nie wyjeżdżaj z literaturą!...

ROMAN

Lepiej się jedzie wspaniałym Rolls-Roycem bogatego papy, co?... Napijecie się może, panowie... Stefa!... Każ przynieść świeżą butelkę.

STEFA

Dla nas nie potrzeba... Idziemy zaraz na stację kolejową.

ZBYSZEK

Rozkaz, Pawle!

PAWEŁ

Czy Lili także sobie tego życzy?

LILI

Tak... Właśnie ja sobie tego życzę.

STEFA

Lepiej odjechać tym pociągiem, niż tłuc się po nocy.

PAWEŁ

Zatem... idziemy. — Do widzenia! —

ROMAN

Moje uszanowanie!

ZBYSZEK

Pożegnamy się jeszcze tylko ze starszem pokoleniem pań... i ruszamy na stację... *(pożegnał się z Romanem, bierze Stefę pod ramię)*

PAWEŁ

Yes! (odchodzi za Stefą, Lilą i Zbyszkiem do willi).

SCENA 9.

NASTKA — ROMAN *potem* MARJA.

NASTKA

(skrada się, by zajść Romana niespodzianie)

ROMAN

Kto tam!?...

NASTKA

A niby ja!... Witam pana, panie szefie!

ROMAN

Jak się masz?... Zmizerniałaś trochę, aleś zawsze urodziwa!...

NASTKA

Tak niby schlebiają.

ROMAN

Zbliż się... *(wyciąga do niej ramię)* Pocałuję... Napijesz się wina?

NASTKA

Coby nie?!...

ROMAN

(nalał, podaje jej kieliszek)

NASTKA

(pije, smakuje) Cierpkie, ale dobre!... *(wypiła duszkiem, jak wódkę, i stawia kieliszek na tacy)*

ROMAN

Chcesz drugi?

NASTKA

Jak można, to i czemu nie?

ROMAN

Pocałuj jeszcze raz, a dostaniesz drugi kieliszek.

NASTKA

Pocałować, pocałuję... ale nic więcej.

ROMAN

To pij... i całuj...

MARJA

(wychodzi z willi)

NASTKA

(zobaczyła Marję) O rety!... Pani szefowa!... *(chce uciec)*

MARJA

Nie uciekaj... Matka twoja prosiła o robotę dla ciebie. Obiecałam, że możesz przyjść plewić w ogrodzie. Do fabryki będziesz dopiero mogła wrócić, gdy się wyleczysz. Wiem, że cię chorą odszupasowali z miasta.

NASTKA

Ta po cóż o tem mówić?...!... Przy panu jeszcze —!—

MARJA

Żeby pan twój się dowiedział.

NASTKA

Przyszłam plewić w ogrodzie, a pan zatrzymał, choć nie chciałam.

MARJA

Plewić przyszłaś wystrojona, jak do kościoła?... A święto dzisiaj, więc się nie pracuje.

NASTKA

Nie moje święto, tylko polskie — ! —

MARJA

Idź do domu i stroje zrzuć!... A jutro rano masz się zgłosić u naszego doktora w ambulatorjum.

NASTKA

(odchodzi)

SCENA 10.

ROMAN — MARJA

ROMAN

...Zastałaś mnie w sytuacji... powiedzmy... nieodpowiedniej... Zdawało mi się, że siedzę w barze na Kurfürstendamm w Berlinie, i trzymam na kolanach hiszpańską tancerkę, rodem z Kołomyji...

MARJA

Czy takie sytuacje będą się tu często powtarzały?

ROMAN

A?!... Tego dziś przewidzieć nie mogę.

MARJA

Mamy gości w domu. Czy nie jesteś w stanie się opanować?...

ROMAN

Ze względu na twoją przyjaciółkę... owszem...!... Ale nasi *in spe* zięciowie nie zasługują na tyle kurtuazji.

MARJA

Dziewczęta same uczyniły ten wybór. Przyznaję... nieszczególny... Ale mogło być jeszcze gorzej. Zakochały się...

Teraz się przeciwstawić, znaczyłoby rozdmuchać pożar. Lepiej będzie przeczekać ten pierwszy okres, nie mieszając się w ich sprawy.

ROMAN

Ja zaś mam zamiar szczerze się wypowiedzieć co o tem myślę.

MARJA

...Czy długo zamierzasz tu zostać?...

ROMAN

Nie wiem.

MARJA

Stanęło na tem, że zamieszkasz stale zagranicą. — Czy nie podjąłeś pieniędzy, przesłanych ci ostatnio do Lovrany?

ROMAN

Owszem... zostały podjęte. Były potrzebne na zapłacenie długów.

MARJA

Nie będę w stanie pokryć twoich wydatków, jeśli przekroczysz budżet miesięczny o takie sumy.

ROMAN

Sądzę, że to się już nie powtórzy.

MARJA

Możesz ręczyć za to?

ROMAN

Przypuszczam... Na razie zostanę tutaj.

MARJA

?!... Jeśli tak... to uprzedzić cię muszę, byś się tu nie wtrącał do zarządu. Ośm lat nadludzkich wysiłków mnie to kosztowało, zanim nasze przedsiębiorstwa doprowadziłam do obecnego stanu, który nazywam zadawalającym.

ROMAN

Chcesz w dalszym ciągu skazać mnie na bezczynność! To ty!... Ty nauczyłaś mnie pić! *(nalewa i pije)*

MARJA

Gdybyś ty rządził tutaj, doprowadziłbyś nas wszystkich do ruiny. Zapytaj naszego prokurzysty, ile zabiegów było trzeba, zanim odzyskaliśmy dostawy dla wojska i rozmaitych firm, które już zerwały z nami. — Dobieram ludzi, którzy chcą i umieją pracować. Gdy zaś ty narzucisz mi tu twoich protegowanych, wrócimy do poprzedniego rozprzężenia... Przeciwko temu będę się broniła wszelkimi środkami...

ROMAN

To bezcelowe. Mam zamiar objąć tu znowu rządy, jak dawniej.

MARJA

!!...Czy mam ci przypomnieć do czego doprowadziły twoje zarządzenia, gdyś ty tutaj był *de facto* szefem?... To był dom warjatów.

ROMAN

Eksperymentowałem. To mi było wolno. Moje to są przedsiębiorstwa.

MARJA

Jeśli o ścisłość chodzi, to fabryka konserw powstała z mojej inicjatywy i za mój posag. A tartak ten, odziedziczony po twoim ojcu, było to coś bardzo mizernego, zanim mój ojciec wpakował tutaj swoje kapitały i nauczył mnie kierować temi przedsiębiorstwami.

ROMAN

Wyzyskałaś tylko zręcznie położenie moje z powodu chwilowego zawieszenia wypłat! Odczułem to!...

MARJA

Wciąż jedno i to samo!... Czy znowu chcesz przed ludźmi zdradzić się sam z tą ignorancją twoją w interesach? Nominalnie dalej jesteś szefem firmy; ja zaś mam tylko obowiązki.

ROMAN

Szantażujesz mnie!... Tak jest!... Szantażowałaś mnie także z powodu samobójstwa twojej sekretarki, Klotyldy Janickiej!...

MARJA

A czy Klotylda nie z twojego powodu zeszła ze świata?...

ROMAN

Kłamstwo!... Nie tylko ja jeden ją miałem!...

MARJA

Znana to odpowiedź mężczyzn... Klotylda Janicka nie miała kochanków. Ocaliłam cię wtedy przed odpowiedzialnością sądową... I nie ten raz jeden zmuszona byłam wyciągnąć cię z błota... Obiecałeś ostatnio, że wrócisz dopiero na ślub córek. Przyjechałeś przed zapowiedzianym terminem... Zapewne chcesz pieniędzy... Ile — ? —

ROMAN

Do... krocset!... Nie zniosę tego urągania!... Dosyć! Dosyć!!... Bo zapomnę o wszystkich względach!... Zapomnę, żeś kobietą!... Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!... Nie przyjechałem po pieniądze!... Nie podkreślaj tego, że już nic innego nas nie łączy, tylko to jedno: nasze sprawy majątkowe!

MARJA

I nasze córki.

ROMAN

Słuchaj!... Dlaczego ty mnie tak nienawidzisz!?... Czemu na mnie wyłącznie przerzuciłaś całą winę!

MARJA

Przestań prowokować! — !! —

ROMAN

Dobrze... Krzycz... Tylko nie kłój szyderstwem. — — Zróbmy nowy układ... Nie sprowokuję więcej... Wzamian żądam tej odrobiny bodaj kurtuazji, która może uczynić znośniejszem nasze życie pod jednym dachem.

MARJA

Czy ta kurtuazja będzie obustronną?

ROMAN

!...?...No, tak... Jakieś licho znowu może mi tu wejść w drogę... Lecz postaram się wyminąć je w ten sposób, żeby to ciebie... nie dotknęło...

MARJA

Będę wyrozumiałą.

ROMAN

Otóż to!... Bardzo dobrze!...

MARJA

Nie chcę, by córki nasze więcej jeszcze cierpiały z naszego powodu.

SCENA 11.

DOKTÓR — ROMAN — MARJA *potem* ZOFJA

DOKTÓR

(wchodzi furtką) Dobry wieczór! *(wita się z Marją)* A to niespodziankę nam zrobił, co?!... *(całuje się z Romanem)* Jak się masz?... Pokaż się!... Doskonale wyglądasz!... Posłużyły ci Włochy...!...

ROMAN

A zauważyłeś, jak mojej żonie posłużyła tutaj obecność pani Łąckiej?... *(do Marji)* Cóż się stało, że tak późno przypomniałaś sobie o tej przyjaciółce?

MARJA

Przypadek... A może przeznaczenie, abym i to także... poznała... Nie widziałam jej od lat blisko trzydziestu... Spotkałam przed miesiącem w Krakowie, u znajomych. Łącka wracała właśnie z Abbazji.

ROMAN

Aha!...

MARJA

Pojęcia nie miałam, że ta Łącka, którą przecie tyle razy podziwiałam na scenie, to moja ongiś przyjaciółka... Zaprosiłam ją tutaj na wakacje...

ROMAN

Nie powinno cię to teraz tak martwić!.. Pobyt Łąckiej w naszym domu zaznaczył się owszem z korzyścią dla ciebie.

DOKTÓR

Oczywiście... Tak jest istotnie...

ROMAN

Co: „oczywiście"?... Teraz dopiero patrzysz i usiłujesz zobaczyć, a nie widzisz!... Nie znasz się na tych wszystkich finezjach kobiecego przystrojenia... Bo i z jakiemi ty kobietami żyjesz, człowieku!... Czy dalej jeszcze mieszkasz z tą rudą Mańką?...

DOKTÓR

Odeszła.

ROMAN

Naturalnie!... Dłużej, niż dwa lata, żadna z tobą nie wytrzyma!.. Bo o czem będzie kobieta z tobą mówiła? Zagrzebałeś się tu na wsi... Od ośmiu lat nie wyjeżdżałeś poza granice tego powiatu. Twój kontakt ze światem ogranicza się na czem?... Wiem, sprowadzasz czasopisma i książki... głównie medyczne...

DOKTÓR

Mam także radjo. — Nie śmiej się... Nie jestem ciekawy jak ten świat teraz wygląda. — Nie próbuję też zbliżyć się do kobiety subtelnej i wykształconej... Wiem, że byłaby w pożyciu ze mną nieszczęśliwa. Są konie, które nie umieją chodzić w zaprzęgu z drugimi...

ROMAN

Łudzisz się, mój przyjacielu, że chodzisz luzem!... Miałbyś ty inny humor, gdybyś nie musiał gryść i szarpać za wędzidło... Nie możesz się i ty uwolnić od czaru „odwiecznej kobiecości"!... Przewodzi nad tobą taka ruda Mańka!... A o ileż ty więcej wart jesteś od tylu, a tylu kobiet, które tobą rządziły!...

DOKTÓR

Nieprawda!... My gorsi jesteśmy od kobiet. Stokroć gorsi... To kobieta powinna się oduczyć miłości dla mężczyzny.

MARJA

Kobieta nigdy nie oduczy się miłości. Zawsze będzie kochała. I zawsze będzie cierpiała... Chodzi tylko o to, aby się uwolniła z pod supremacji mężczyzny.

ROMAN

I sama rządzić mogła wielkiemi przedsiębiorstwami!...

MARJA

I to także...

ROMAN

A więc będziesz dalej rządziła!

DOKTÓR

(oglądając butelkę) Wypróżniona... Słuchaj... Romku... Ty na łeb, na szyję, pędzisz ku swojej zgubie.

ROMAN

Wstrzymaj ruch planet!... Nie usiłujesz nawet pomyśleć o tej możliwości. Pocóż przeciwstawić się naturze?.. *(do nadchodzącej Łąckiej)* A to co!... Już wystrojona inaczej?... Czy wybiera się pani na przechadzkę?

ZOFJA

Odjeżdżam!... Niestety... tak!... *(wita się z doktorem)* Dobry wieczór panu!...

DOKTÓR

(całuje Zofję w rękę) Z każdym dniem piękniej pani wygląda. Gdy pobędzie tu pani jeszcze miesiąc, odjedzie stąd odmłodzona o lat piętnaście.

ZOFJA

W takim razie... gdybym tu jeszcze została dwa miesiące, trzeba by mnie włożyć do poduszki, jak niemowlę... Czuję się dzisiaj tak, jakbym miała lat trzydzieści, choć liczę już czterdziestkę z okładem...

DOKTÓR

Przy pogodnem, miłem usposobieniu pani przepowiadam długą jeszcze młodość; drugą wiosnę... w jesieni.

ROMAN

(z ironją) Ten umie prawić komplimenty kobietom! *(do doktora)* Już nie wysilaj się na grzeczności!...

ZOFJA

Miałam się tu nauczyć nowej roli, żeby już przygotowana zjawić się na ostatnich próbach w Warszawie. Przed chwilą zajrzałam do walizki, gdzie, jak mi się zdawało, zapakowałam także tę rolę. Tymczasem roli niema. Prawdopodobnie zostawiłam ją w domu...

ROMAN

Tę sprawę załatwi się inaczej. Jeżeli ktoś został w mieszkaniu pani, to poprostu napisze się, żeby rolę przy-

słano. Jeśli nie, w takim razie ja pojadę i rolę przywiozę. — ... Lecz bądźmy szczerzy... Rola posłużyła tu tylko za wymówkę... Czy tak?...

ZOFJA

Po cóż tłumaczy to pan w taki sposób?... Nie jest to miłe dla mnie, ani dla Marji.

DOKTÓR

(do Romana) Zostawmy tę sprawę paniom do rozstrzygnięcia.

ROMAN

Dobrze!... Zobaczymy, co z tego wyniknie. *(odchodzi z doktorem)*

SCENA 12.

MARJA — ZOFJA.

ZOFJA

Z tobą, Marjo, będę szczera; powiem ci więc...

MARJA

Zaraz, moja kochana... Powinnaś o tem wiedzieć, zanim odjeżdżasz... Wniosłaś do tego smutnego domu radość życia... Teraz nie próbuję nawet zatrzymać cię tutaj. Nie pytam: jaki jest prawdziwy powód, który skłania cię do wyjazdu. A jednak... może będziemy o tem mówiły...

ZOFJA

Owszem!... Chcę, abyś ode mnie się dowiedziała, a może już domyśliłaś się?... „Epizod" w Suszaku, to ja!..

MARJA

Domyśliłam się...

ZOFJA

Spotkaliśmy się w tak romantycznych okolicznościach, że nie uważaliśmy tego za konieczne przedstawić się sobie

wzajem... Nie dowiedziałam się też potem jak się nazywa. Moje *incognito*, naturalnie, nie dało się utrzymać. Ale on, ponieważ tak chciałam, pozostał dla mnie... *Nieznajomym*.

MARJA

Ciekawe...

ZOFJA

Podoba mi się, a jest twoim mężem; nie chcę tu stwarzać sytuacji, która byłaby denerwującą... Więc ucieknę... I wierz mi, że ucieczka w tych warunkach posiada dla mnie urok niemały!... Nie masz do mnie żalu — ? — ... No, to dobrze!.. Nie pogniewasz się także, że już wydałam dyspozycje twojemu szoferowi, by odwiózł mnie na stację kolejową?...

MARJA

Odprowadzę cię.

ZOFJA

Idę dokończyć pakowania.

MARJA

A ja parę róż zetnę tu dla ciebie na pożegnanie... Zaraz tam przyjdę.

ZOFJA

Więc nie gniewasz się? Nie robiłam ci żadnych zwierzeń... bo pocóż miałaś się martwić?... Nie bierz tego epizodu tragicznie. Jesteś zanadto domyślna i dajesz to po sobie poznać. Nie czyń tego więcej. Lepiej patrzeć o tak... przez palce... — No, do widzenia!

SCENA 13.

MARJA — LILI — STEFA

(Marja ścina róże z klombu)
(Przez bramę wchodzą: Stefa i Lili)

MARJA

I cóż, moje córy?... Odprowadziłyście waszych chłopców na kolej i wracacie w niebardzo dobrym humorze.

LILI

Mamo... chciałabym z tobą o czemś ważnem pomówić.

MARJA

Nie mam teraz czasu, moje dziecko... Odłóż to do jutra. *(z bukietem róż kieruje się w stronę willi)*

LILI

Mamo — ! — ...

MARJA

Możliwie dziś jeszcze, lecz nie teraz. *(odchodzi)*

SCENA 14.

STEFA—LILI—POKOJÓWKA *potem* MARJA — ZOFJA.

STEFA

Biedna mama!... Nigdy nie ma dla nas czasu... Wyekspedjowałam chłopców głównie dla tego, żeby się tu nie pętali dzisiaj... Bałam się, że mama zrobi ojcu jakąś awanturę... Tymczasem, widziałaś... ścina róże na powitanie małżonka.

LILI

!... Jak ty o rodzicach mówisz?...

POKOJÓWKA

(zbiegła z tarasu i przy klombie ścina róże)

STEFA

Dla kogo wy tak ograbiacie te krzaki róż?...

POKOJÓWKA

Dla pani Łąckiej, bo wyjeżdża! *(wraca do willi z różami)*

STEFA

Coś się tu stało... Ale mama wcale zadowoloną miała minę...

LILI

Może tobie tak się to zdawało. — Mnie... nie!...

(z willi wychodzą Zofja i Marja. Zofja w płaszczu podróżnym i w kapotce z welonką długą; w ręku trzyma wiązankę róż)

ZOFJA

(do Lili i Stefy) Ach, to dobrze, że mogę się jeszcze z wami pożegnać!... Dziękuję wam... drogie... kochane... *(całuje kolejno Lilę i Stefę)* za wszystkie piękne chwile... Zachowajcie mnie tutaj w miłej pamięci. — Niestety, musiałam skrócić mój pobyt na wsi... Bądźcie mi zdrowe!... *(całuje Marję)*

MARJA

Podprowadzimy cię przynajmniej do auta, skoro nie pozwoliłaś, bym cię odprowadziła na stację.

POKOJÓWKA

(przybiega z walizkami i różami).

ZOFJA

(do Pokojówki) Prędko... prędko, bo spóźnię pociąg!

(Odchodzą za furtkę; po chwili wraca pokojówka; złożyła na auto walizki, a teraz ogląda banknot, otrzymany na odjezdne i chowa; zabiera potem tacę z butelką i kieliszkami i odbiega do willi. Teraz wracają Marja, Stefa i Lili)

SCENA 15.

STEFA — LILI — MARJA *potem* ROMAN — DOKTÓR.

STEFA

Pewnie Łącka dostała telegram od któregoś ze swoich wielbicieli! Wolała pojechać do przyjaciela.

LILI

To wcale za nią nie przemawia...

STEFA

Ależ moja kochana!... Czy miała się tu zanudzić?... Ofiarować się dla naszej mamy?... Użyła pierwszego lep-

szego pretekstu, ażeby tylko móc prędzej wyjechać!... Nudziła się tutaj! To było widoczne!...

MARJA

Nie to...

STEFA

?... Czyżby znowu ojciec?...

(Z willi wychodzą Roman i Doktór)

ROMAN

Gdzie jest Łącka?

STEFA

Już odjechała.

ROMAN

Wygląda to tak, jakbym ja tę damę wystraszył z tego domu. *(do Marji)* Ale to twoja wina, że Łącka stąd po prostu uciekła...

STEFA

Ależ tatusiu!... *(odwróciła się na chwilę plecyma i mrugnęła pororumiewawczo w stronę Marji, a czyni to w sposób bardzo szelmowski)* Mama właśnie zgnębiona wyjazdem Łąckiej... *(zbliża się do Romana)* Ej!...?... Czy też właśnie Łącka nie przed tobą... uciekła?... Miała minę, gdyś się tu zjawił niespodzianie!... Nie przysięgnę, czy już gdzieś, tam, zagranicą, nie rozegrał się między wami jakiś flircik!...

LILI

(do matki) Jak ona z ojcem mówi!...

ROMAN

(założył monokl, chwilę przypatruje się Stefie z upodobaniem) Jesteś bardzo interesująca, moja mała!... W rezultacie... nie będziemy nosili żałoby po Łąckiej. *(do doktora)* Przyznała się sama do czterdziestki... z okładem! *(siada znużony)* Spać mi się chce...

(W ogrodzie, przed willą, i na tarasie, rozbłysły elektryczne lampy łukowe)

ROMAN

Ach!... Co za ostre światło...'... *(zasłonił oczy)* Można oślepnąć!...

DOKTOR

(zbliżył się do Romana) Zmęczony jesteś długą podróżą... idź... połóż się...

ROMAN

Masz słuszność... Dobranoc... *(zabiera się odchodzić, nagle odwraca się, patrzy podejrzliwie po wszystkich; smutny, drwiący uśmiech; potem spojrzał na Stefę, bierze ją pod ramię)* Jestem bardzo zmęczony — *(wstępuje na taras. Tu zostawia Stefę — potem odwraca się i posyła Stefie od ust całusa)*

STEFA

(wzajem rzuca ojcu całusy)

DOKTÓR

Taaak...

LILI

Stefa!

MARJA

(do Lili) Zostaw...

(ZASŁONA)

AKT II.

Biuro fabryczne. Pokój „szefowej“. Grubo tapicerowane drzwi prowadzą do biur „personelu“. Szerokie okno parterowe z widokiem na tartak i plac drzewny.

SCENA 1.

MARJA — BRONIA *potem* ROMAN

MARJA

(siedzi przy biurku i pracuje)

BRONIA

(wchodzi z papierami, które kładzie na biurko)

MARJA

(ogląda) Dobrze to pani robi... *(przypatruje się Broni)* Ale... mniejszy dekolt. Nie trzeba drażnić mężczyzn.

BRONIA

Ach, dzisiejsi mężczyźni już oswojeni z nagością, proszę pani szefini!... Taki dekolt nie robi już żadnego wrażenia!...

ROMAN

(wszedł cicho; założył monokl i z miną znawcy przypatruje się nóżkom Broni)

BRONIA

(do Marji) Mogę już odejść — ? —

MARJA

Tak...

ROMAN

(do Marji) Przedstawisz mnie może twojej sekretarce... — ? —

BRONIA

(z dygiem) Bronisława Kleinówna, panie szefie!... Mam nadzieję, że zarówno, jak pani szefini, i pan szef będzie ze mnie zadowolony.

ROMAN

(podaje Broni rękę) Jeśli potrafiła pani pozyskać zaufanie tak surowej „szefini“, cóż bym ja tu jeszcze miał do zarzucenia?...

BRONIA

...Czy już nie jestem potrzebna?...

MARJA

Już powiedziałam...

BRONIA

(odchodzi)

(Na biurku dzwoni telefon)

MARJA

(zdejmuje słuchawkę) Tak... Dobrze... Zaraz się to stwierdzi i otrzyma pan odpowiedź! *(powiesiła słuchawkę, wyszukała na biurku potrzebne papiery i kieruje się w stronę biura „personelu“)* Przepraszam cię... zaraz wrócę. *(odchodzi)*

SCENA 2.

ROMAN — BRONIA *potem* MARJA

ROMAN

(zbliżył się do biurka i ogląda księgi)

BRONIA

(wchodzi) Przepraszam... Zostawiłam tu na stoliku potrzebne papiery... *(szuka)*

ROMAN

(po chwili) I cóż?... Znalazła pani?

BRONIA

Tak... *(chce odejść)*

ROMAN

Niech pani jeszcze nie odchodzi. — A może czeka tam „szefini“ na panią?

BRONIA

Pani szefini udała się na plac drzewny.

ROMAN

Taak... Czy długo już pani tutaj pracuje?

BRONIA

Od kilku dni dopiero... Ale już tyle o panu szefie słyszałam!...

ROMAN

Cóż naprzykład?...

BRONIA

...Że zmienia pan, panie szefie, przyjaciółki swoje, jak krawaty... A każdej, na wstępie, ofiaruje pan piękny płaszcz futrzany. Gdy zaś przestaje się ona panu podobać, posyła jej pan eleganckie, domowe pantofelki na znak, że z nią zrywa... Czy to prawda?...

ROMAN

Tak... I cóż jeszcze plotkują o mnie?...

BRONIA

Byłam szalenie ciekawa poznać pana, panie szefie... Mówiono mi, że ma pan oczy, którym żadna kobieta oprzeć się nie może... Szafirowe, w ciemnej oprawie brwi, z długą frendzlą rzęs.

ROMAN

Pani niemało egzaltowana...

BRONIA

Ma pan, panie szefie, najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam...

ROMAN

...Spodziewam się, że spotykać tu panią będę codziennie — ? —

BRONIA

Gotowa do usług, panie szefie!...

MARJA

(weszła i szybkiem, przelotnem spojrzeniem ogarnęła sytuację. Ironiczny uśmiech — ale potem spokojnie zwraca się do Romana) Czekają tam na ciebie.

ROMAN

Aha!... Wiem już... *(odchodzi)*

SCENA 3.

MARJA — BRONIA

BRONIA

(chce odejść)

MARJA

Proszę zostać — *(przegląda papiery i listy na biurku)*

BRONIA

Przyszłam tu po papiery, które zostawiłam na stoliku.

MARJA

Nie chciałabym pani oddalić... Jestem z pani zadowolona... Pracuje tu pani rzetelnie. *(w dalszym ciągu rozcina listy i przegląda je)*

BRONIA

Dlaczego mam być wydalona?...

MARJA

Pani jest za ładna i za młoda.

BRONIA

O, taka znów młoda nie jestem...!... Mam lat dwadzieścia ośm — ! —

MARJA

Pani jest zalotna... Nie jest to błędem — ale w położeniu pani może to mieć fatalne następstwa. Mężczyźni...

BRONIA

Wiem, co są mężczyźni, proszę pani szefini!... Jeśli nie z własnego doświadczenia, to od koleżanek biurowych... Jestem ostrożna... Pani szefini może być przekonana, że mnie się tu nic złego nie przytrafi!...

MARJA

To dobrze, że pani sama nad sobą czuwa. Tak być powinno. Nie jest się w stanie obronić młodej dziewczyny, gdy sama bronić się nie umie... Trudno mi więcej powiedzieć...

BRONIA

...Dziękuję... *(odchodzi)*

SCENA 4.

MARJA — ROMAN *potem* WOŹNY — WALEK SCHREIBER — ŻYCZKOWSKI

ROMAN

(wchodzi) Życzkowski, Schreiber i Walek Nosacz proszą, by ich przyjęto z powrotem. Walkowi przyrzekłem... Nie wątpię, że to uwzględnisz. Czy mogą teraz wejść?...

MARJA

Za chwilę. *(wyjmuje z szuflady biurka rewolwer i dokładnie bada, czy należycie funkcjonuje i czy nabity)* Tak...

ROMAN

Cóż te przygotowania mają znaczyć?

MARJA

Każę tu zawołać tych ludzi, byś się przekonał co warci. Przedtem muszę przygotować brauning, bo nie ręczę, czy Życzkowski nie przyszedł tu z bronią w zanadrzu.

ROMAN

Nie przypuszczasz, że ja ci tu morderców nasyłam?...

MARJA

Musiałabym cierpieć na manję prześladowczą, gdybym cię posądziła o podobne rzeczy. Lecz wiem o każdym z moich oficjalistów i robotników więcej, niż ty. Nie trudno mi przewidzieć, do czego są zdolni... Każ ich tu zawołać.

ROMAN

(dzwoni)

WOŹNY

(staje w progu)

ROMAN

Wprowadzić tych trzech, którzy tam czekają.

WOŹNY

Dobrze, panie szefie! *(odchodzi)*

(Wchodzą: Walek, Schreiber i Życzkowski)

WALEK

...Ano... przyszedłem prosić, coby pan szef i pani szefowa z powrotem przyjęli mnie do tartaku...

MARJA

...Siadaj pan, panie Schreiber. Z panem później pomówię. *(Do Walka)* Z tobą także. *(Zwraca się do Życzkowskiego — a trzyma prawą dłoń opartą na rewolwerze)* Zbliżcie się, Życzkowski!... Co mi chcecie powiedzieć?

ŻYCZKOWSKI

Krzywda mi się stała. Wydalono mnie niesłusznie z fabryki. Pracowałem jako spec i znam się na robocie.

Mam starą matkę na utrzymaniu i troje dzieci. Teraz gdzieindziej pracy nie znajdę. Posądzony zostałem niewinnie o podburzenie robotników.

MARJA

Życzkowski potrafił to wszystko tak zręcznie zakonspirować, że nie udało się dowieść wam winy. Ale dla mnie najmniejszej nie ulega wątpliwości, że Życzkowski jest głównym winowajcą. Życzkowski namawiał do sabotażu — i z tem walczymy dotąd stale. Pretensje Życzkowskiego są niesłuszne. Tutejsi oficjaliści i robotnicy wiedzą o tem, że mogą być wydaleni tylko w razie zupełnej niezdolności do pracy, lub za szkodliwą agitację i sabotaż. Jeśli zaś pracujecie uczciwie, nie pytam, jaką wyznajecie religję; czy modlicie się do Boga w kościele, w cerkwi, lub w bożnicy, i czy wogóle się modlicie. Nie obchodzą mnie także wasze przekonania polityczne, o ile nie działacie na szkodę państwa i naszych przedsiębiorstw.

ŻYCZKOWSKI

Mówię, żem niewinnie był posądzony. Niech pani nie doprowadza ludzi do ostateczności. Przyszedłem prosić, by mnie przyjęli z powrotem. Krótko pytam: tak—czy—nie?

MARJA

Nie — ! —

ŻYCZKOWSKI

A więc niechże będzie tak!! *(błyskawicznym ruchem wyjął rewolwer i chce strzelać do Marji)*

MARJA

(momentalnie podniosła swój rewolwer)

ROMAN

(stał tuż za Życzkowskim, oparty o stolik; przyskoczył w samą porę i wyrwał broń z ręki Życzkowskiego) Nie spodziewałem się tego po panu, panie Życzkowski!

WALEK

(pomógł Romanowi ubezwładnić Życzkowskiego) A to drań dopiero!... *(trzyma Życzkowskiego w silnych ramionach)*

MARJA

Należało Życzkowskiego zastrzelić, jak wściekłego psa. Ale pozwalam teraz Życzkowskiemu odejść.

ŻYCZKOWSKI

Psiakrew! *(do Walka, który go popycha ku drzwiom)* Puszczaj!

WALEK

Aż wylecisz za drzwi! *(wyrzucił Życzkowskiego za drzwi i wraca)*

SCENA 5.

ROMAN — MARJA — SCHREIBER — WALEK

SCHREIBER

Wielmożna pani... ja z tym zbójem nic wspólnego nie mam...

WALEK

Panie szefie... Czy my będziemy odpowiedzialni za tamtego drania?... Przecie to tak wygląda, jakbym z Życzkowskim był w zmowie!...

MARJA

Nie posądziłam cię o to. *(zwraca się do Schreibera)* Zbliż się pan, panie Schreiber.

SCHREIBER

Ja tutaj dwadzieścia lat służyłem wiernie... *(przerywa mu atak astmatycznego kaszlu)*

ROMAN

(podaje Schreiberowi szklankę wody) Niech pan teraz nie mówi... aż się uspokoi...

MARJA

Schreiber jest poważnie chory i nie może, nie powinien już pracować. Wzięłam córkę Schreibera do fabryki konserw, a syna do tartaku. Dzieci Schreibera teraz zarabiają.

SCHREIBER

Córka i syn potrzebują dla siebie te zarobki. Jeden ojciec może utrzymać pięcioro dzieci, a pięcioro dzieci nie zdoli utrzymać ojca i matki... Ja mam chorowitą żonę, i nas jest siedmioro...

MARJA

Schreiber wyprocesuje przynależną mu rentę inwalidzką.

SCHREIBER

Wielmożna pani szefini nie wie jeszcze, jak z tą rentą. Oni już w sądzie także odmówili. Nasz fabryczny doktór napisał mi w świadectwie sto procent inwalidztwa, a doktór ubezpieczalni społecznej i doktór sądowy, nie chcą mi nawet przyznać *pięćdziesiąt pięć procent*, tylko *pięćdziesiąt*. Bo jak już jest pięćdziesiąt pięć procent, to ja mam prawo do renty. Ja nie wiem, czy to się tak da wymierzyć, że ja mam akurat 50, a nie 55 procent inwalidztwa. Ale taki był wyrok. Oni także powiedzieli w sądzie, że ja zdatny jeszcze jestem do spokojnej, kancelaryjnej pracy... To ja proszę o jakąś pracę w kancelarji.

MARJA

Schreiber raz jeszcze badany będzie klinicznie. Nasz adwokat wniesie rekurs. Schreiber wygra proces. A tymczasem może brać zasiłek z funduszu dla bezrobotnych.

SCHREIBER

Oni mi nie dają zasiłku, bo już upłynął termin.

ROMAN

Zobaczymy, co się da zrobić dla pana, panie Schreiber... Wracaj pan do domu i bądź dobrej myśli.

SCHREIBER

Kłaniam się... i polecam... *(odchodzi)*

SCENA 6.

ROMAN — MARJA — WALEK

WALEK

To może i mnie nie przyjmą z powrotem?

MARJA

Odprzysięgnij od wódki, wyprowadź się od żony, skoro nie możesz z nią żyć w zgodzie; ona i tak od ciebie prócz sińców, nic więcej nie ma — sama zarobkować musi na swoje utrzymanie.

WALEK

Gdy się od niej wyprowadzę, weźmie *se* do izby kochanka.

MARJA

Mniej zgorszenia będzie, niż teraz, gdy oboje za łby się bierzecie... Dostaniesz kartkę na mieszkanie w barakach, gdzie są zamiejscowi robotnicy. *(napisała kartkę i podaje Walkowi)* Nie wrócisz do maszyny, bo po pijanemu, przy maszynie o wypadek nie trudno. Będziesz do zwózki drzewa z lasu i do obróbki.

WALEK

To i degradacja też!...

MARJA

Aż się dowiem, że już się nie awanturujesz i nie zapijasz.

WALEK

Ano, niech i tak będzie!... Może być, żem zasłużył na to!... Spróbuję!... Wydolę, to i dobrze! A nie dam rady, to się obwieszę!

ROMAN

To tylko czas próby. Nie potrwa długo. Dobrze będzie!... A popraw się.

WALEK

Niby... jakbym wziął na ambit i przestał pić, to wrócę do maszyny?

ROMAN

(z uśmiechem skinął głową i podaje mu rękę)

WALEK

Dobra nasza!... *(ściska rękę Romana, potem czapką zamiata w ukłonie przed Marją)* Kłaniam się! *(odchodzi)*

SCENA 7.

ROMAN — MARJA *potem* NASTKA *wreszcie* DOKTÓR.

ROMAN

...Bardzo zręcznie panować umiesz nad sobą. I to właśnie podziwiałem... Ale twój rewolwer — *(wziął z biurka jej rewolwer i waży go w ręku, zanim odkłada z powrotem)* nie na wiele byłby się tu przydał... Źle się tu dzieje, skoro dochodzi do takiej ostateczności.

MARJA

Każę uwięzić Życzkowskiego...

ROMAN

Rozważymy to jeszcze... razem... co należałoby uczynić. Schreiberowi damy jakieś dożywocie. Na jutro zaproszę delegacje oficjalistów i robotników. Przeświadczony jestem o tem, że trzeba tu użyć innej taktyki... Sądzę... zgodzisz się — ? —... Postaram się, by twój prestiż nie ucierpiał w żadnym wypadku.

MARJA

Zaczynają się więc twoje rządy...

ROMAN

Była mowa o wzajemnych ustępstwach ... Czy tak — ? —

MARJA

Pamiętam o tem... Walek Nosacz na twoje życzenie został z powrotem przyjęty. Zrobiłam to ustępstwo tylko dla ciebie...

ROMAN

(kłania się z drwiąco-pobłażliwym uśmiechem)

NASTKA

(odepchnęła w drzwiach woźnego, który nie chce jej wpuścić, i wpada z lamentem) Nie dajcie mnie do miasta, do szpitala!... Wszystko zróbcie ze mną, ino nie do szpitala!... Nie chcę! Nie pójdę!

MARJA

Byłaś w ambulatorjum u naszego doktora?

NASTKA

Od ordynacji wprost do pani! Nie posyłajcie do szpitala!

MARJA

(łączy się telefonicznie) Hallo!... Czy siostra Elżbieta?.. Niech siostra powie doktorowi, że tu jest Nastka Grzędzielówna... Przybiegła z lamentem... Proszę, aby doktór po ordynacji wstąpił do mojego gabinetu. *(powiesiła słuchawkę)*

NASTKA

(do Romana) A pan szef to się już za mną nie ujmie?...

ROMAN

(z niechęcią, tłumioną przez wrodzoną dystynkcję) Cóż ja dziś dla ciebie mogę zrobić?... Chora jesteś... więc musisz się leczyć...

NASTKA

Nie ja sama winna!... Nie ja!... Ale ci, co mnie doprowadzili do tego, żem się rozłajdaczyła! Niech pan szef nie pozwolą skrzywdzić jeszcze więcej!... I pan szef też skrzywdził!... Może oni operacją w szpitalu ze mną zrobią?... Będą krajać? Chcę jeszcze żyć!

MARJA

Właśnie dlatego, abyś mogła żyć i być zdrowa, musisz się leczyć.

NASTKA

A pan szef czemu nic nie powie!?...

MARJA

Nie rób krzyków... Zaczekaj tam na ganku. Gdy doktór przyjdzie, to się ciebie zawoła.

DOKTÓR

(wchodzi w kitlu białym, wprost z ordynacji, zaaferowany)

NASTKA

(na jego widok cofa się i staje w kącie)

DOKTÓR

(do Marji) Nie chciałem, żeby pani czekała na mnie... Dzień dobry!... Dzień dobry! *(chowa ręce w tył i tylko głową kiwa na pozdrowienie Marji i Romana; teraz zaś zwraca się do Nastki)* Toś ty tutaj przybiegła ze skargą?! *(do Marji)* To jest ten chłopski lęk przed szpitalem...

NASTKA

Jakby pan doktór był biednym chłopem, toby się też bał szpitala!

MARJA

Doktorze... Może jednak będzie się mogła leczyć w domu?

DOKTÓR

Wykluczone!... W domu się nie wyleczy. *(do Nastki)* A nie wyleczysz się, jak należy, to już więcej ani do pracy, ni do ludzi i zabawy, bo uciekać od ciebie będzie każdy!...

NASTKA

O, Jezu!... O, Jezu!... Jezu!... *(płacze)*

MARJA

W szpitalu nie będzie ci źle. Napiszę, by się tobą zaopiekowali. — Zgłoś się teraz w ambulatorjum po kartkę do szpitala.

NASTKA

(całuje Marję w rękę i odchodzi)

DOKTÓR

(zamienił przedtem z Romanem parę słów) Wracam do moich pacjentów. Zawsze po świętach większy ruch u mnie! *(odchodzi)*

SCENA 8.

ROMAN — MARJA — *potem* STEFA

ROMAN

(po chwili) Wiesz, co mnie teraz zastanawia?...

MARJA

...O czem mówisz?...

ROMAN

Chciałaś mi dać lekcję poglądową... może nawet upokorzyć... Tak jest!... Nie zaprzeczaj!... Wiem, że stale natrafię tu na bierny opór!...

MARJA

Powiedziałam ci już wszystko, co miałam do powiedzenia.

ROMAN

Kazałaś podziwiać twoją wspaniałomyślność dla Nastki Grzędzielówny!...

MARJA

!?!...Robisz mi wyrzuty z tego powodu?... —! — To już trochę nadto...!...

STEFA

(na progu) Czy można?...

MARJA

Wejdź!

STFFA

(wchodzi) Słyszałam o jakiejś awanturze... Walek, jak opętany, gonił za Życzkowskim, który podobnoś odgrażał się nam wszystkim.

ROMAN

Posprzeczali się tu ze sobą.

STEFA

To tylko tyle?... A ja zatrwożyłam się o was; o mamę przedewszystkiem...

MARJA

(zabiera się do pracy przy biurku) Jeśli tylko o mnie, to bez powodu... Gdzie jest Lili?... Chciała ze mną pomówić jeszcze wczoraj. Nie miałam dla niej chwili czasu.

STEFA

Nadspodziewanie Paweł dziś przyjechał... Konferują z sobą już od godziny!...

MARJA

Zbyszka niema?... Bo są nierozdzielni, jak bracia sjamscy.

STEFA

Zbyszek nie ma dla mnie tyle czasu. Chce w terminie pierwszym pozdawać egzamina.

ROMAN

A więc chwalisz sobie tego bubka!?...

STEFA

Proszę cię, nie nazywaj go bubkiem!... Zdecydowałam się zostać jego żoną — i przy każdej okazji potrafię zasugerować wszystkim, że Zbyszek szalenie zdolny, że zrobi karjerę, a ja będę przy nim szczęśliwa.

ROMAN

Cóż stąd, kiedy on sam wywracać będzie koziołki i zepsuje opinję, jaką ty mu zechcesz wyrobić...

STEFA

Nie zamierzam wiązać się ze Zbyszkiem na całe życie... Ślub, z furtką otwartą do rozwodu. W środowisku, w jakiem się obracamy, małżeństwo na próbę wywołałoby zgorszenie... Niechże więc będzie *Veni Creator* i w mirtowym wianku, przy asyście drużbów i drużek... i całej szanownej familji Boguckich i Czerniaków..!...

ROMAN

Przypuszczam, dzieci nie zechcesz rodzić?...

STEFA

Naturalnie, że nie!...

ROMAN

Naturalne to nie jest, ale zgodne z twojem usposobieniem.

MARJA

(pracując przy biurku, reagowała mimicznie i nie brała udziału w djalogu; teraz, nie podnosząc głowy z nad ksiąg, mówi) Inne miałam o tobie mniemanie.

STEFA

Zgorszyłaś się prawdopodobnie!...

MARJA

Raczej: nie! Wolę cię już mieć tak krytycznie nastawioną wobec Zbyszka. — Myślałam, że jesteś zakochana i zamało znasz życie. Teraz jestem o ciebie spokojna... choć się tem wszystkiem nie zachwycam...

STEFA

A ty, tatusiu?...

ROMAN

Jesteś sprytniejsza, niż przypuszczałem. Cóż ty poczniesz z tym durniem, który chce zostać dyplomatą — ? —

STEFA

To właśnie Zbyszka podnosi w moich oczach — a nie nazywaj go durniem! — Nauczy się milczeć dyplomatycznie i uśmiechać nic nie mówiącym uśmiechem, jak inni dyplomaci, których miałam przyjemność poznać! — Nie obrzydzisz mi go!... Zbyszek jest bogaty, przystojny, elegancki, przytem stuprocentowy mężczyzna. Rodzice jego ubóstwiają mnie, co pochlebia mi bardzo. Lubię imponować drugim, a nie zniosłabym, gdyby ktoś chciał mnie imponować.

ROMAN

A więc... — ? —

STEFA

Otóż na nic się to nie zda, gdybyś spróbował przeciwstawić się, nawet przy pomocy najbardziej logicznych argumentów!... Autorytet rodzicielski stracił już znaczenie, odkąd dzieci nauczyły się krytykować swoich rodziców! *(do Marji)* Twojego autorytetu nie próbuję podważyć, bo mi go nigdy nie narzucałaś... A ty, tatusiu, najlepiej uczynisz, jeśli w stosunku do nas, córek, będziesz jak najbardziej współczesny. — ...Potem ci to wytłumaczę. Teraz nie przeszkadzajmy tu mamie!... Zbliża się pora audjencyj. Jej królewska mość zacznie udzielać posłuchania swoim poddanym!

ROMAN

A czemże ja tu jestem, moja mała?...

STEFA

(z dworskim ukłonem) Książe-małżonek!... A pamiętaj o tem!... Królowa może być szorstka, apodyktyczna, nawet w pewnych wypadkach musi być okrutna... lecz książe-małżonek jest miły, elegancki, wytworny, zawsze *comme il faut!...* Jak ty tatusiu! *(pocałowała go i zwraca się do Marji)* Do widzenia mamo!... *(zdaleką posyła jej ręką pozdrowienie, potem oplotła ramieniem szyję ojca i nucąc refren wesołej piosenki aktualnej, uprowadza go z kancelarji)*

SCENA 9.

MARJA — BRONIA *potem* LILI

MARJA

(chwilę w zamyśleniu spoglądała za odchodzącymi; twarz jej skurczyła się pod natłokiem przykrych myśli; lecz opanowała się prędko i powróciła do pracy. Odzywa się telefon; więc podejmuje słuchawkę) Tak... Tak... Oczywiście... Tak... Sama to stwierdzę... *(wstaje od biurka)*

BRONIA

(wchodzi z kwitami)

MARJA

Niech się tu pani zatrzyma; być może, będzie mi pani potrzebna. Czy Doliński jest w biurze?

BRONIA

Odwołano go przed chwilą na plac. Wyładowują przywiezione z lasu drzewo.

MARJA

(odchodzi do biura „personelu“)

BRONIA

(składa na biurku kwity i przygotowuje świeży papier na maszynie do pisania)

LILI

(wchodzi) Niema tu mamy?... Dzień dobry pani! *(podaje Broni rękę)*

BRONIA

Pani szefini jest w biurze. Zaraz pewnie wróci.

LILI

(po chwili) Może przyjść potem?

BRONIA

Lepiej poczekać. Pani szefini zacznie potem przyjmować interesantów.

MARJA

(wraca) Czekasz tu na mnie?

LILI

Odejdę, jeśli jesteś bardzo zajęta.

MARJA

Musi to być coś ważnego, inaczej nie przeszkadzałabyś mi tutaj... Nie czynisz tego nigdy. *(do Broni)* Może pani odejść.

BRONIA

(odchodzi)

SCENA 10.

MARJA — LILI

LILI

Miałam długą z Pawłem rozmowę... Chciałam to sama z nim załatwić... Nie dało się... Ale pozwól mamo, że zamknę drzwi na klucz, żeby nie wchodzili podczas naszej rozmowy.

MARJA

(usiadła przy biurku) Mów.

LILI

Nie tak oficjalnie, mamo!... Nie przy biurku!

MARJA

(podniosła się i bierze Lilę za rękę) Siadajmy tutaj.

LILI

...Będziesz musiała przyjąć tu zaraz Pawła... Zagroził, że pomówi z ojcem. Nie chcę ojca w to mieszać... Gdy Paweł od ciebie usłyszy, że zgadzasz się na zerwanie naszego narzeczeństwa, odjedzie natychmiast; — tak przypuszczam.

MARJA

Pokłóciłaś się z Pawłem?

LILI

Z tem nie przyszłabym do ciebie. Uczyłaś nas, byśmy własne sprawy same załatwiały. Chciałam to uczynić, lecz Paweł nie godzi się na zerwanie... Mamo! To nie kaprys!.. Rozważyłam wszystko... Nie wiem, czy odrazu będziesz mogła wniknąć w moje położenie... Ale nie sposób, abyś nie pojęła mnie... Tylko wysłuchaj spokojnie... Od kilku dni wiem, że będę miała dziecko... od Pawła.

MARJA

Lili... Ty, Lili — ! —

LILI

Nie spodziewałaś się tego po mnie...

MARJA

(po chwili) Uważaj, co ci powiem. Bywa tak, że kobieta w odmiennym stanie odczuwa dziwne podniecenie. Wydaje się jej, że nienawidzi, że musi się zemścić... Chorobliwe senzacje zmieniają się ciągle... To podniecenie nerwów minie. Jesteś zazwyczaj dość opanowana. Paweł odjedzie... Poproszę, żeby się tu nie pokazywał, aż go zawezwiesz.

LILI

Dlaczego chcesz mnie poddać tej próbie?

MARJA

Może rozmyślisz się inaczej. Dziecko każde winno przyjść na świat w uregulowanych stosunkach społecznych.

LILI

Mamo!... Ja nie chcę, aby moje dziecko wstydziło się swojego ojca!... Lepiej niech go nie zna.

MARJA

Przedtem nie sądziłaś Pawła tak surowo.

LILI

...Widywaliśmy się przeważnie sam na sam... Rozmawialiśmy... no, o czem?... O miłości, o głupstwach... Cieszyłam się, że taki przystojny... że ładnie śpiewa i gra, że dobrze tańczy... Zdawało mi się, że go kocham... Potem, gdy spotykałam go w towarzystwie, zaczęłam krytyczniej sądzić. Wstydziłam się poprostu za niego, że taki nieuk i głupi. Zmiarkował coś i usiłował opanować moje zmysły. Uległam mu w końcu. Lecz to, zamiast i duchowo także zbliżyć nas do siebie, sprawiło, że zniechęciłam się do niego jeszcze bardziej.... Mamo! Paweł to marny człowiek!...

MARJA

Moje dziecko... ale co będzie dalej — ? —

LILI

Wyjadę na kilka lat do Paryża i tam będę kończyła studja... Nie odmówisz mi swojej pomocy?... A przyda ci się tutaj kiedyś chemiczka...

(Na biurku dzwoni aparat telefoniczny)

MARJA

...Przepraszam cię... *(zbliża się do biurka i podejmuje słuchawkę)* Halo!... Tak... Dobrze!... Proszę mówić powoli. Notuję... Tak... Może być jutro załadowane. — Stop! *(odłożyła słuchawkę, zabrała kartkę i kieruje się w stronę*

biura, mówiąc do Lili) Chwileczkę tylko potrwa. Nie chcę tu wołać nikogo. *(odchodzi)*

LILI

(Gdy zostaje sama, ogarnia ją coraz większe zdenerwowanie)

MARJA

(wraca) ...Uspokój się, Lili!... Wszystko zrobię...

LILI

...Czy wiesz, co powiedział Paweł, gdy mu wyznałam, że spodziewam się dziecka?... Podał mi adres pewnego sanatorjum w mieście dla przeprowadzenia chirurgicznego zabiegu; radził skłamać przed tobą, że wyjeżdżam z wycieczką turystyczną do Norwegji. Taki on podły!... Czy nie?..

MARJA

Mężczyzna...

LILI

Może być, że Stefa w mojem położeniu zgodziłaby się na to. Inne także. Ale ja chcę mieć dziecko. Ono dorośnie... Wrócimy tu do ciebie. Nauczysz nas pracować, jak ty pracujesz... Ty nie wiesz, mamo, jak bardzo jestem do ciebie przywiązana.

MARJA

Wierzę... Ale jesteś młoda i masz prawo żądać od życia czegoś więcej. Żadnych więc takich planów na przyszłość. No, głowa do góry... i... pocałuj mnie...

LILI

...Mamo...!... Pocałowałaś mnie tak serdecznie, jak wtedy, kiedy byłam jeszcze mała. Czy dlatego, że znowu potrzebuję twojej opieki?... Mamo!... Potrafisz być taka bardzo dobra i wyrozumiała... Czemu dla naszego ojca jesteś inna?... Nam, córkom, zostawiłaś swobodę samostanowienia... Czemu jego skrępowałaś?... Odsunęłaś go od siebie; odsunęłaś od współpracy w biurze... Czemu ojcu na-

szemu nie było wolno żyć przy tobie i z tobą, jak on tego żądał i pragnął?...

MARJA

Nie o wszystkiem wiesz... Ileż ja razy przechodziłam przez piekło z jego powodu!.. A ciągle się to jeszcze powtarza... Twój ojciec jest może lepszym mężem od tylu innych, ale nie liczy się nigdy z nikim i z niczem... Nie zawsze można patrzeć przez palce na to wszystko.

LILI

To ojciec zawsze będzie taki nieszczęśliwy?...

MARJA

Nie przesadzaj. Ojciec twój nie wygląda na człowieka nieszczęśliwego.

LILI

Jest kulturalny... Kryje się z tem, że cierpi.

MARJA

I ja cierpię... bo... go... kocham... — ...Dość już... Przyślij mi tu zaraz Pawła.

LILI

Ale pamiętaj, że Paweł musi się zgodzić na zerwanie i nie może mieć żadnych pretensyj do mnie, ani do dziecka.

MARJA

Zaufałaś mi... Bądź spokojna.

LILI

(całuje matkę w rekę) Mamo... dziękuję ci... *(odchodzi)*

SCENA 11.

MARJA *potem* WOŹNY

MARJA

(chwilę stoi bez ruchu, w ciężkiej zadumie. Scisnęła dłońmi skronie, przeszła się parę razy po pokoju, wresz-

cie zapanowała nad sobą, powróciła na swoje miejsce orzy biurku i dzwoni)

WOŹNY

(wchodzi)

MARJA

Czy tam już dużo osób czeka?

WOŹNY

A jest ich dosyć —

MARJA

Zadzwonię potem na Michała i Michał zacznie wprowadzać kolejno, jak są zapisywani.

MICHAŁ

Wiem... Już mnie pouczył mój przedwstępca.

MARJA

Kto?

WOŹNY

A woźny, co tu był przede mną i wczoraj odszedł.

MARJA

Pan Wirski się tu zaraz zgłosi. Wprowadzić przed innymi.

WOŹNY

Dobrze, proszę pani szefowej. *(chce odejść)*

MARJA

Niech Michał jeszcze zaczeka. *(prędko podpisała kilka kwitów i podaje woźnemu)* Zabrać to do likwidatury.... dla panny Kleinówny....

WOŹNY

Dobrze, proszę pani szefowej. *(odchodzi)*

SCENA 12.

MARJA — PAWEŁ

(wchodzi) Dzień dobry!... Rączki całuję!...

MARJA

(nie podaje mu ręki) Niech pan siada.

PAWEŁ

....Przepraszam.... Czy Lili wszystko powiedziała?

MARJA

Tak.

PAWEŁ

....Bardzo mi przykro... Lecz proszę mi wierzyć, że tu nie może być mowy o uwiedzeniu.

MARJA

Lili została uświadomiona. — Nie wierzę też w uwiedzenie, gdy kobieta tego nie chce... A gwałt w tym wypadku, przypuszczam, wykluczony.

PAWEŁ

Oczywiście...!...

MARJA

Nie czynię panu wyrzutów... Nie zdałoby się to już na nic.

PAWEŁ

Przyjmuję wszystkie konsekwencje.... Sądzę jednak, że dla uniknięcia skandalu, lepiejby było...

MARJA

Narazić tylko Lilę na przyjęcie konsekwencyj.... Czy tak?...

PAWEŁ

Ależ pani dobrodziejko!...

MARJA

Pan nie chce, by to dziecko się urodziło.

PAWEŁ

Głównie, jak to już powiedziałem, chcę uniknąć skandalu. Lecz nie przyszło mi na myśl zrywać z Lilą. A w tej chwili, rozważywszy wszystko *pro i contra*, gdy widzę, że pani jest owszem za urodzeniem dziecka, cieszę się z praw ojcowskich do... wnuka pani.

MARJA

Tak... Do wnuka bogatej babki...!... To więc możemy zakończyć rozmowę. *(na maszynie wybiła słów kilkanaście)* Pan to podpisze... *(podaje mu kartkę papieru)*

PAWEŁ

(przeczytał kartkę i odrzucił) Absolutnie tego nie zrobię!... Nie jestem taki głupi, jak pani sądzi!... Podpisać taką deklarację!... Oddać się w ręce pani!... I nie dochodzić swoich praw teraz, ani w przyszłości!

MARJA

Zechce pan nie podnosić głosu...

PAWEŁ

Przepraszam, jeśli się uniosłem... Najpierw Lili dręczyła mnie dwie godziny... Teraz pani!... Powiedziałem, że przyjąć chcę wszystkie konsekwencje i poślubię Lilę. Nie widzę powodu, dla którego miałbym od tego postulatu odstąpić.

MARJA

Jest powód: Lili nie chce pana na męża.

PAWEŁ

Lili mówiła tak w rozdrażnieniu!...

MARJA

Było to również i moje przypuszczenie. Lecz okazuje się, że Lili rozważyła dobrze, co uczynić zamierza. Widocznie znała pana lepiej ode mnie.

PAWEŁ

Jeżeli Lili chce zerwać, nie znaczy to jeszcze, żebym miał się zrzec praw do mojego dziecka!

MARJA

Pan podpisze tę deklarację, albo jutro już o wszystkiem dowie się matka pana i ktoś jeszcze —

PAWEŁ

Matka moja nie może być wmieszana w tę sprawę!... To kobieta surowych obyczajów. Zeszłowieczna. Nie zrozumie nas, młodych...

MARJA

Ale mnie zrozumie!

PAWEŁ

Myli się pani!... Raczej powie, że należy ślub przyspieszyć. Tylko obawiam się, że Lili będzie odtąd miała zamknięty wstęp do moich rodziców.

MARJA

Ejże!... Więc ta cnotliwa, bogobojna niewiasta potępi nie pana, lecz moją córkę!

PAWEŁ

Tak bywa pani dobrodziejko!... Na to nie poradzimy—!—

MARJA

Owszem... poradzimy na to... Wiem, do czego namawiał pan Lilę. Oddam tę sprawę prokuratorji. Ja się skandalu nie boję!... Usłyszymy, co matka pana powie.

PAWEŁ

Pani mi prokuratorem grozi? — ! —

MARJA

Bronię mojej córki!... To moje matczyne prawo!... I obronię przed każdym, kto ją potępi, a spróbuje pana oczyścić z winy!

PAWEŁ

(po chwili) Proszę mi dać czas do namysłu. Chcę jeszcze pomówić z Lilą.

MARJA

Nie — ! — Pan podpisze zaraz.

PAWEŁ

(podpisuje) Czynię to pod presją!... I zapamiętam to pani! *(odchodzi)*

SCENA 13.

MARJA *potem* WOŹNY *wreszcie* DOKTÓR

MARJA

(włożyła deklarację Pawła do kasetki z dokumentami, zamyka kasetkę, i z powrotem chowa do biurka, potem dzwoni)

WOŹNY

(wchodzi)

MARJA

Wprowadzać kolejno.

DOKTÓR

(wchodzi już ubrany „spacerowo") Przepraszam... chciałbym parę słów tylko...

MARJA

(do woźnego) Aż doktór odejdzie, Michale.

WOŹNY

Dobrze, proszę pani szefowej. *(odchodzi)*

SCENA 14.

MARJA — DOKTÓR

MARJA

(wskazała doktorowi fotel przy biurku) Proszę...

DOKTÓR

Wyjeżdżam na kilka dni.

MARJA

? — ! —

DOKTÓR

Zostawiłem zastępcę.

MARJA

To dobrze.

DOKTÓR

Nie chciałbym zwlekać z tem, o czem powinna pani dowiedzieć się najrychlej.

MARJA

! ?... Słucham...

DOKTÓR

Roman jest ciężko chory. Niech pani nie nalega, by żył zagranicą, zdała od rodziny. Może nadejść chwila, kiedy będzie mu opieka domowa potrzebna.

MARJA

Dalej... Chcę wszystko wiedzieć.

DOKTÓR

Mam to przekonanie, że nie ugnie się pani. Jestem pełen podziwu dla pani od lat ośmiu...

MARJA

Doktorze... mów to, co miałeś mi powiedzieć.

DOKTÓR

U Romana rozwinęła się ciężka choroba serca... Nagły atak może mieć fatalne następstwa. Takie małe naczyńko w mózgu pęka... To jeszcze nie śmierć, ale przy tych komplikacjach przychodzi paraliż...

MARJA

(bezwiednie wstała i zachwiała się, więc kurczowo trzyma się krawędzi biurka) Doktorze — ! — ... Doktorze ?... Doktorze...

DOKTÓR

(podniósł się z miejsca) Niech pani uważa, by Roman unikał gwałtownych wzruszeń... Lampy w mieszkaniu niech mają abażury. W ogrodzie i na tarasie zmienić lampy łukowe. Czuwać, by nie pił, nie palił...

MARJA

Uczynię wszystko.

DOKTÓR

Przepraszam... Spełniłem obowiązek — *(odchodzi)*

SCENA 15.

MARJA *potem* WOŹNY

MARJA

(zostawszy sama, usiłuje skupić myśli i zastanowić się, lecz nie jest w stanie opanować drżenia rąk i nóg, więc ciężko osunęła się na fotel przy biurku)

WOŹNY

(wchodzi) Czy można już wprowadzić?

MARJA

...Dziś... nie...

WOŹNY

(spojrzał na Marję, pokiwał głową i powoli odchodzi)

MARJA

(bez ruchu, z wyrazem męczeńskiego bólu patrzy przed siebie w przestrzeń, jakby ślepnącemi oczyma. Dzwonek telefonu na biurku zadzwonił i dzwoni bez przerwy coraz natarczywiej, lecz ona się nie poruszyła i nie zmieniła nawet wyrazu twarzy. Telefon wciąż dzwoni)

(ZASŁONA)

AKT III.

Hall w willi Czerniaków. W głębi dwa stopnie na taras zamknięty i oszklony. Przez japońską w głębi szybę zagląda drzewo, którego gałęzie kołyszą się na wietrze i często uderzają o oszkloną ścianę. Urządzenie hallu stylowe. Kręte schody w głębi na lewo, prowadzą do pokojów mieszkalnych na piętrze.

SCENA 1.

ROMAN — LILI *potem* POKOJÓWKA *wreszcie* BRONIA

ROMAN

(wchodzi i zatrzymuje się na tarasie)

LILI

(kończy grać walc Brahmsa as-dur)

ROMAN

Brawo!... Bravissimo!... *(zbliżył się do Lili i całuje ją w głowę)* Dziękuję ci...

LILI

(prędko pocałowała Romana w rękę)

ROMAN

(usunął rękę, zażenowany)

LILI

(czeka w milczeniu)

ROMAN

Lubię ten walc Brahmsa. Zagrałaś go bardzo ładnie... Z wdziękiem i finezją. Codziennie walc ten grała w Lovranie na moją prośbę skrzypaczka, występująca tam w kawiarnianej orkiestrze. Miała na utrzymaniu ślepą siostrę i dwunastoletniego brata. Zgrane tworzyli trio... Artyści z bożej łaski...

LILI

Coraz częściej wspominasz od paru dni... Włochy... Czy chciałbyś tam powrócić?

ROMAN

Nie...!... Przybyłem tutaj, jak ciągnie do matecznika chory, starzejący się... lew. *(nieznacznym ruchem położył dłoń na piersiach, tam, gdzie tłucze się chore serce)*

LILI

Usiądź...

ROMAN

Nie... nie... To nic... Czy może zbladłem?

LILI

Przeciwnie... To jest właściwie...

ROMAN

Sygnał alarmowy... Odzywa się tutaj... coraz częściej...—... Nie mów o tem ze Stefą... Nie trzeba... Ot, neurastenik ze mnie...!

LILI

O, tak... To tylko neurastenja...

ROMAN

... Nie mów nic nikomu... Nawet matce.

LILI

Mama czyni wszystko co może, aby ci tu było dobrze.

ROMAN

Tak... Wiem o tem...

LILI

Kocha cię.

ROMAN

Któżby pomyślał!...

LILI

Możesz być o tem przekonany... Teraz już spokojna stąd wyjadę; widzę, że nie czujesz się tu taki obcy, jak dawniej.

ROMAN

Zatem nieodwołalnie podróż twoja postanowiona...?...

LILI

Tak...

ROMAN

Musisz?...?...

LILI

Jak to rozumiesz? — ! ? —

ROMAN

Mówi się o twoich studjach... Nie wiedziałem o tem, że aż do Paryża trzeba jechać, żeby studjować chemję...

LILI

!?! —

ROMAN

No, no!... Nie dziwię się niczemu. — Nie będę się niczemu dziwił... A jeśli dałaś dymisję temu durniowi, toś mądrzejsza, niż przypuszczałem... Nie dopraszam się zaufania... Lecz matce możesz się zwierzyć; to rozumny człowiek...

LILI

Nie mam tajemnic przed matką.

ROMAN

W takim razie jedź — i... moje błogosławieństwo na drogę!... ...Nie zagubisz się w Paryżu?

LILI

Mama odprowadzi mnie — ulokuje — i wróci tutaj. ...Nie sądzę, abym nie potrafiła dać sobie rady w Paryżu.

ROMAN

To dobrze. — Ale czemu w takim razie... chodzisz taka smutna? Zawsze... jakby gniewliwa... Miałem wrażenie, że i na mnie się gniewasz...

LILI

Na ciebie?... Ależ ja cię tak bardzo... tak bardzo cię kocham, tatusiu!

ROMAN

I z płaczem mi to mówisz...?... Trzeba „na wesoło"... Jak Stefa!

LILI

Inna jestem, niż Stefa...

ROMAN

W bożym ogrodzie różne rosną drzewa i różne kwiaty... Wyrosłaś w cieniu matki... Szkoda!... Bo i z ciebie kwiat piękny...

(U drzwi w głębi odzywa się dzwonek. Pokojówka biegnie przez hall i spieszy otworzyć drzwi. Za chwilę wraca z Bronią)

BRONIA

(ubrana w eleganckie futro i aksamitny toczek) Dobry wieczór... Przepraszam. Wezwana zostałam przez panią szefinię. Przyniosłam pani szefini ważne papiery, które w roztargnieniu zabrałam z biura do domu.

LILI

Do widzenia, tatusiu!... Odchodzę.

ROMAN

Do widzenia!

LILI

(odchodzi schodami na piętro)

POKOJÓWKA

Czy mam zameldować pani?

BRONIA

Ma się rozumieć...!

POKOJÓWKA

(odchodzi, obrzuciwszy Bronię ironicznem spojrzeniem)

ROMAN

(odkręcił kontakt elektrycznego światła) Taak —

SCENA 2.

ROMAN — BRONIA *potem* MARJA

BRONIA

(zbliżyła się do Romana) Nie przywita mnie mój kochany Rom? *(pocałowała Romana, a potem, okręcając się, jak manekin, prezentujący nowe toalety, pyta zalotnie)* A podobam się — ? —

ROMAN

Nigdy ładna kobieta pytać o to nie powinna.

BRONIA

.. Nie mogłam... Widzę... Rom niezadowolony... Ale doprawdy... nie mogłam sobie odmówić tej satysfakcji, żeby się nie wystroić — i tak wystrojona, zaprezentować się szefini na pożegnanie... Wcale mnie nie wzywała!... Rozmyślnie zatrzymałam u siebie pewne papiery i odnoszę je teraz.

ROMAN

To śmiałe...

BRONIA

Rom podziwia, że zdobyłam się na to?

ROMAN

Nie.

MARJA

(wchodzi z pokoju na dole, z lewej strony)

ROMAN

(do Marji) Panna Kleinówna odnosi jakieś ważne papiery i chce się pożegnać... Nie będę przeszkadzał. *(odchodzi na prawo)*

SCENA 3.

MARJA — BRONIA *potem* POKOJÓWKA

BRONIA

(ukłoniła się, gdy Marja weszła; przeczekała aż Roman zniknął za drzwiami i, przezwyciężając tremę, zaczyna mówić) W roztargnieniu zabrałam... a wiem, że będą w biurze potrzebne. *(kładzie na stoliku papiery, które wyjęła z torebki)*... Otrzymałam pisemne zawiadomienie, że zostałam zredukowana, i nie miałam sposobności pożegnać się z panią szefinią osobiście... Ośmieliłam się więc przyjść tutaj.

MARJA

To nie było konieczne... ale dziękuję pani.

BRONIA

(mówi coraz śmielej) Dla mnie było to nieprzepartą potrzebą... Pani szefini tak bardzo troszczyła się o to, żebym się nie stała ofiarą mężczyzn, że pragnę dla wyjaśnienia... powiedzieć teraz parę słów.

MARJA

Pani jest agresywna... *(z uśmiechem, pełnym wyrozumiałości)* Lecz pozwalam się wypowiedzieć...

BRONIA

Wiem, że nie każda na mojem miejscu zdobyłaby się na to, ale ja nie mam już tutaj nic do stracenia!... Będę zaś mówiła nie tylko w mojem imieniu... Takich, jak ja, jest

tysiące. Najczęściej otrzymujemy posadę nie dla kwalifikacyj fachowych, lecz dla naszej urody... Głównie idzie o to, abyśmy się podobały panom dyrektorom. Gdy która zbrzydnie i postarzeje się, traci posadę. Wtedy nie przyjmą jej nigdzie. Stenotypistki muszą być młode... O zamążpójściu najmniej myślimy. Czy mamy wyjść za kolegę biednego, jak my?... Nie każda też ma to wątpliwe szczęście, że chce ją poślubić taki biedak. Najczęściej ofiaruje się nam ktoś dla krótkiej przyjemności. A musimy być tą stroną, która zaczepia, bo inaczej nikt nie zwróciłby na nas uwagi!... Bierzemy, co nam ofiarują... Dlaczegóż nie miałybyśmy zaznać tej odrobiny radości!...

MARJA

Zbyt drogo to zapłacone...

BRONIA

Tak mówiło się dawniej!... Dziś nie rozdajemy się tak bez reszty!... Wiemy, że to, co ma być tylko przygodą, trwa krótko, jak każda przygoda!... Nie mamy też tego przykrego uczucia, że się sprzedajemy, jeśli w dowód wdzięczności za miłe chwile, ktoś ofiaruje nam cenny pierścionek, lub... eleganckie futro. Nie to było przecie celem, lecz szukanie miłości.

MARJA

Nie wesołe to. Nie wiem także, czemu to pani mnie mówi...

BRONIA

Aby pani szefini usłyszała prawdę o takich dziewczętach, jak ja... i była wyrozumiałą dla mojej następczyni.

POKOJÓWKA

(wchodzi i podaje Broni paczkę)

BRONIA

Co to? *(bierze paczkę do rąk; z niedostatecznego opakowania wylatują eleganckie, domowe pantofelki damskie)*

POKOJÓWKA

Zaraz to lepiej zapakuję... *(wyjęła z kieszonki fartuszka sznurek i pakuje)*

BRONIA

(uchwyciła się poręczy krzesła) Co teraz?... Co teraz?...

MARJA

(usłyszała szept Broni i zwraca się do pokojówki) Zabierz tę paczkę i odejdź. *(gdy pokojówka odeszła, mówi do Broni)* Niech mi pani zostawi swój adres.

BRONIA

Chce mi pani szefini posłać jałmużnę? — ! —

MARJA

Prawdopodobnie znajdzie się gdzieś posada dla pani.....

BRONIA

!?... Dziękuję.... *(cicho, powoli odchodzi)*

SCENA 4.

MARJA *potem* ROMAN *wreszcie* POKOJÓWKA — ZBYSZEK

MARJA

(zbliża się do okna i otwiera je; oddycha parę razy i zamyka potem okno)

ROMAN

(wchodzi; nie odrazu zauważył Marję; gdy ją ujrzał przy oknie, długo na nią patrzy)

MARJA

(dostrzegłszy Romana, zatrzymuje się odruchowo)

ROMAN

Ponura, jesienna wichura. *(zbliżył się do Marji i grzecznie pomaga zejść po stopniach)* Zapomnij, że to

drzewo tam tłucze gałęźmi o szyby — *(wytwornym ruchem przysunął jej fotel przy kominku, usiadł vis à vis na drugim fotelu i mówi po chwili)* Jakże wypadło pożegnanie z panną Kleinówną?

MARJA

Męczące to było. Likwidację traktować zwykłam zawsze poważnie.

ROMAN

Ja również zlikwidowałem... Lecz traktuję to lekko. *(chce zapalić papierosa)*

MARJA

Wiem. *(łagodnie odbiera mu papierośnicę)*

ROMAN

...Jesteś moją powiernicą. Nie silę się na zatajenie tego zlikwidowanego stosunku... A przyznasz, że panna Kleinówna... z wyjątkiem dzisiejszej „wizyty"... zachowywała się z dużym taktem i nie zapomniała o szacunku, winnym tobie... Ja zaś, niestety, pozostałem egoistą, jakim byłem zawsze... Lecz, czy wiesz, czem dla mnie taki egoizm?... To mnie chroni, by nie zapędzić się na ślepy tor...

(Trąbka automobilowa za oknem)

ROMAN

Czy mi się wydaje, że ktoś zajechał?...

MARJA

Posłałam auto po Zbyszka. Dawno już tu nie był.

ROMAN

Ty wiesz Maryna, jak drażni mnie ten dureń!...

POKOJÓWKA

(spieszy otworzyć drzwi: odbiera od wchodzącego Zbyszka płaszcz i czapkę, powiesiła to na szaragach i odchodzi)

SCENA 5.

MARJA — ROMAN — ZBYSZEK

ZBYSZEK

Dobry wieczór!... Ach, cóż to za słota!... Jak w listopadzie, a mamy dopiero początek października! *(zdjął na stopniach tarasu rękawiczki, schował do kieszeni i zbliżył się do Marji, którą całuje w rękę; Romanowi składa niemy ukłon)*

MARJA

Lili i Stefa są na górze.

ZBYSZEK

Dobrze, mamo! *(poprawia przed lustrem czuprynę i krawat)*

ROMAN

(do Marji) Odkądże ten rodzinny ton... i już „mamo"...! Nie wiedziałem nic o tej zmianie...

MARJA

Stefa o to prosiła.

ROMAN

(do Zbyszka) Zadomowił się pan tutaj!...

ZBYSZEK

I szczęśliwy z tego powodu!... Co prawda, szczęście sprzyjało mi zawsze.

ROMAN

To jest, widzisz Maryna, szczęście ludzi głupich... Towarzyszy im przez całe życie, razem z ich głupotą...

ZBYSZEK

Pan mnie obraził!

MARJA

Zbyszku... Miałeś pójść na górę.

ZBYSZEK

Niech mama będzie spokojna... *(do Romana)* Wszyscy ustępujemy tu panu. Jest to już taki układ...

ROMAN

Z kim układ?...! Chcę wiedzieć!...

ZBYSZEK

Układ dyplomatyczny, który trzymany jest w tajemnicy... To wyjaśnienie musi nam na razie wystarczyć.

MARJA

Zbyszku... ten cytat, *(w stronę Romana)* przypuszczam z jakiejś gazety... *(do Zbyszka)* nie był tu *à propos.*

ZBYSZEK

Przysięgam, że to moje własne były słowa!...

ROMAN

Pan nie ma jednej własnej myśli!... Nic!... Nic własnego!

ZBYSZEK

Mamo!... Ja muszę się wreszcie wypowiedzieć!...

MARJA

Zbyszku!... Milcz!...

ZBYSZEK

Rozumiem... Nie zawiedziesz się na mnie... *(całuje Marję w rękę)* Zaufanie za zaufanie, mateczko! *(do Romana)* Pan pozwoli, że odejdę. Stefa czeka na mnie. *(odbiega na górę)*

SCENA 6.

ROMAN — MARJA

ROMAN

A to bezczelny bubek!... „Zaufanie za zaufanie"!... „Mateczko"!... Słuchaj, Maryna!... Więc ta, ostatnio okazy-

wana mi przyjaźń twoja i dobroć, to była maska?!... Zmieniłaś tylko taktykę!...

MARJA

Jakiś ty niesprawiedliwy...

ROMAN

(spojrzał na Marję; już mija podniecenie, tembardziej, że zobaczył w oczach Marji dwie duże łzy i zauważył, jak odwróciwszy się, prędko otarła oczy chusteczką, którą z powrotem wsunęła za rękaw sukni. Zbliżył się do stołu, gdzie leżą szachy i usiadł bokiem na krześle. Oplótłszy poręcz krzesła rękami, na podłożonych dłoniach składa głowę tak, że twarz jego zwrócona jest do Marji profilem)

MARJA

(po chwili zbliżyła się do Romana i położyła dłoń na jego głowie ruchem troskliwej matki) Zaufaj mi.

ROMAN

(nie podnosząc głowy i nie zmieniając układu ciała, bierze jej rękę i podnosi ku ustom)

MARJA

Dziś rano, gdy przeglądałam dokumenty, które będą mi potrzebne, natrafiłam na twoją metrykę... Masz dopiero czterdzieści pięć lat — *(chwilę trwa w zamyśleniu)*

ROMAN

(podniósł nieco głowę i w milczeniu patrzy na Marję)

MARJA

...Jestem od ciebie starsza... — Patrzysz na mnie z uwagą... Czy liczysz zmarszczki na mojej twarzy?

ROMAN

Nie — ! — Tylko ci zazdroszczę, że umiesz się tak opanować. ...Ja nie potrafię...

MARJA

Codzienny trening, a wreszcie przywyka się. *(stanęła przy zegarze)* Spóźnia się nasz doktór... Gracie o tej porze w szachy... *(zbliża się znów do stołu i staje vis à vis Romana)* Może zagrasz ze mną — ? — *(siada)*

ROMAN

? — Dobrze!... *(szykuje)* Które wolisz?... Czarne?

MARJA

Białe.

ROMAN

Masz słuszność. Tobie zawsze w jasności kroczyć... *(ustawia)*

MARJA

Kto ma pierwszeństwo?...

ROMAN

Naturalnie ty, królowa!... Zaczynaj... *(grają)* Ale o co właściwie gramy?... Uwaga!... Koń zagrożony — ! —

MARJA

Ach, prawda!... Czy mogę cofnąć ten ciąg?

ROMAN

Nie wolno... Musisz uważać... Pokaż twoje ręce... Dotąd jeszcze piękne... Zakochany byłem w twoich rękach. Potem uczułem ich ciężar na swoim karku... i... znienawidziłem...

MARJA

Nie wiedziałam o tem... Ale sama poznałam, że nienawiść może być zamaskowaną miłością.

ROMAN

...Niemal wyznanie — ! — *(po chwili)* Otóż biję pionek... Szach królowej!...

MARJA

Sytuacja ciężka... lecz można to naprawić...

ROMAN

Tymczasem biorę ci konia.

MARJA

Ty mnie konia — ja tobie wieżę.

ROMAN

Aha! Lecz o co gramy?... *(nie przerywając gry)* Mam wśród pamiątek, przywiezionych z Wenecji, chustkę stylową... Kupiłem, by ofiarować to Stefie w upominku ślubnym... Chustka będzie twoją, gdy przegram... A jeśli ty przegrasz, dostanę chusteczkę, którą chowasz w rękawie... Zostały w niej dwie perły: łzy twoje...

MARJA

(wzruszona, usiłowała zapanować nad sobą; potrąciła też nieuważnie króla, który przewraca się)

ROMAN

Upadł król!... Zły to znak... Na pewno przegrasz.

MARJA

Może tak — a może nie — ! —

ROMAN

(po chwili) Kiedy wyjeżdża Lili?...

MARJA

(nie przerywając gry) Za kilka dni... Chciałam cię właśnie prosić, byś trochę serdeczniej odnosił się do niej... Boli ją twoja obojętność... A kto wie, czy Lili nie kocha cię jeszcze więcej, niż Stefa...

ROMAN

...Szach królowi!...

MARJA

...Źle... Obydwie wieże po przeciwnej stronie... nie mam się czem zasłonić. *(cofa króla)*

ROMAN

Poddaj się.

MARJA

Nie poddaję się.

ROMAN

Jeszcze trzy ciągi i będzie po wszystkiem... *(po chwili, nie przerywając gry)* Stefa jest interesująca... Jako córka i kobieta... Daje nam wiele... Całe życie będziemy jej dłużnikami... Stefy nie możemy wydać z domu... Ten dom bez Stefy będzie pusty... Gdy Lili wyjedzie, jej braku prawie nie odczujemy... Jakby jej tu nie było już teraz. ...Snuje się tutaj, jak cień... Czekajmy jeszcze ze ślubem Stefy... Może, za przykładem Lili... pewnego dnia... przyjdzie także Stefie na myśl odprawić z kwitkiem... swojego znów durnia...

MARJA

(nie przerywając gry) Nie musimy przyjmować Zbyszka. — Stefa mogłaby odprowadzić Lilę do Paryża... i zostać tam kilka miesięcy...

ROMAN

Zupełnie chybiony pomysł!... A teraz... szach — mat.

MARJA

...Przepraszam... Jeszcze jedno mam wolne pole.

ROMAN

Nie tak łatwo dajesz za wygranę... Lecz przegrasz.

MARJA

(nie przerywając gry) Tak bez żadnych względów nie chciałbyś mi chyba dać mata...

ROMAN

(nie przerywając gry) Przegrywając, wygrasz... Przypomnij sobie o co gramy...

MARJA

(nie przerywając gry) Stawiając kwestję w ten sposób, mogłoby ci potem przyjść na myśl, że gram z tobą nieuczciwie...

ROMAN

(nie przerywając gry) Jestem podejrzliwy, to prawda!...

MARJA

(nie przerywając gry) Zawiniłam może wobec ciebie... ale bez złej woli... Staram się być teraz oddaną ci towarzyszką... jakakolwiek by nasza była dola... Zawsze myślałam o tem, aby tobie było dobrze... Nieraz mogłeś to sobie tłumaczyć inaczej.

ROMAN

(kładzie dłoń na jej dłoni) Dziękuję ci, Maryna...

MARJA

...Tak, Romku. — Grajmy dalej.

ROMAN

Grajmy — *(grają dalej w milczeniu)*

(Z góry schodzą po schodach do hallu: Stefa, Lili i Zbyszek)

SCENA 7.

MARJA — ROMAN — STEFA — LILI — ZBYSZEK *potem* POKOJÓWKA

STEFA

(jeszcze na schodach) Zbyszku!... Nie pozwalam się teroryzować!... A jeśli przyjdzie ci jeszcze ochota narzucić mi swoją wolę, zbuntuję się! *(gdy zobaczyła grupę przy stole)* Wielkie nieba!... jak mówi się jeszcze w staroświeckich komedjach... Nasza mama gra w szachy!... *(przybiegła i stanęła za krzesłem Romana)* ...Ależ cudowne pociągnięcie, tatusiu!... Uważaj, mamo! *(zwraca się do Lili i Zbyszka, którzy w głębi stanęli przy stole, gdzie wszystko przygotowane do gry w ping-pong)* Zagrajcie wy tam sami! Ja nie odejdę stąd, aż partja się tu rozstrzygnie.

(Lili i Zbyszek zaczynają grać w ping-pong)

ROMAN

(radośnie podniecony od chwili ukazania się Stefy) Mam przegrać chustkę wenecką.

STEFA

O, nie! Chustka będzie moją!... Musisz wygrać!...

MARJA

(gra z coraz większem roztargnieniem)

STEFA

(śledzi grę) Wspaniale, tatusiu!... Twoje posunięcie teraz, było godne mistrza!... Brawo!... Chustka mnie się należy... Wiem, że dla mnie była przeznaczona...!...

ROMAN

No, tym razem naprawdę: mat!... Przegrałaś, Maryna! — ...Dawaj twoją chusteczkę... *(wstał, zbliżył się do Marji)* Biorę sam... *(z za rękawa jej sukni wyjął chusteczkę)*

STEFA

(do Romana) I o tę chusteczkę grałeś?...

ROMAN

(do Stefy) Nie wiesz, co zawiera... Dla mnie droga to pamiątka... Dziewczęta!... Czy widziałyście kiedy waszą matkę płaczącą?...

LILI
STEFA

Nigdy!

ROMAN

(do Marji) A więc — ? — *(schował chusteczkę)*

STEFA

I chowa tę chusteczkę, jak rycerz średniowieczny szarfę swojej bogdanki: na sercu!... Podajcie mi kapelusz z pióropuszem; chcę, jak paź królowej z bajki — zamieść proch przed waszemi stopami!... *(porwała z kanapy po-*

duszkę i, jakby to był kapelusz pazia, wykonuje do słów wypowiedzianych ruch odpowiedni z ręką na sercu)

ROMAN

(do Marji) A co?... I ją chcesz wydać z domu...!... Tam na dworze deszcz, błoto, zawierucha, ponura noc ciemna!... A tu słońce...!... *(do Stefy)* Słońce, to ty córuś!

STEFA

No... no... tatusiu!.. Bo mój Zbyszek będzie zazdrosny o takiego, jak ty, rywala!... Któż się z tobą zdoła zmierzyć... ty... przemiły... zawsze jeszcze piękny... uwodzicielu kobiet!...

ZBYSZEK

Stefa!... Chodź tu!...

STEFA

(do Zbyszka) Nie rozkazuje się współczesnej kobiecie!... A gdy flirtuje, musisz udawać z uśmiechem, że tego nie widzisz!...

ROMAN

Każ Maryna podać chianti... Czuję się dziś doskonale...

MARJA

(ściszonym głosem) Doktór ci zabronił.

ROMAN

Spełniam te jego nakazy, lecz dziś wyjątkowo, każ przynieść chianti.

STEFA

Pod jednym warunkiem, tatusiu!... Dwa kieliszki! Dla mnie i dla ciebie!... Nalejemy do pełna — upijemy parę kropel, potem pełne jeszcze kieliszki razem z butelką, rozbijemy o tamto drzewo za oknem, ślubując: nie pić wina nigdy!... Czy to nie będzie piękne? *(zadzwoniła)*

ROMAN

Zobaczymy.

POKOJÓWKA

(wchodzi)

STEFA

(do pokojówki) Butelkę chianti i dwa kieliszki.

POKOJÓWKA

(patrzy na Marję i czeka)

MARJA

(do pokojówki) Przynieś.

POKOJÓWKA

(odchodzi)

ROMAN

(do Stefy) Jeśli to ma być ofiara, to na jaką intencję, — i dla czego właśnie o tamto drzewo za oknem, rozbić mamy kieliszki — ? —

STEFA

Nie uświadomiłam sobie tego dokładnie...

ROMAN

Nie widzę tu logicznego związku...

STEFA

Nie cierpię... i boję się tego drzewa...

ROMAN

A to czemu?

STEFA

Przed dwoma laty powiesiła się na tem drzewie Nastka Grzędzielówna. ...No, tak!... Odratowano ją wtedy... Właśnie mama wracała ze starym Schreiberem z nocnej inspekcji w tartaku. Schreiber pierwszy zobaczył Nastkę, wiszącą na drzewie, i narobił krzyku...

ROMAN

Nikt mi nic o tem nie mówił —

MARJA

Stefa też niepotrzebnie opowiada ci teraz tę starą historję...

ROMAN

(zwraca się do Stefy i mówi z ironją) Sądzisz, że to drzewo domaga się ofiary?...

STEFA

Nie wiem!... I nie mówmy już o tem!... *(ironizując „na wesoło")* Mógł ten mój pomysł być wynikiem jakiejś myśli z kompleksu tych, które drzemią w naszej podświadomości...

ROMAN

Trzeba będzie ściąć to drzewo.

MARJA

Nie... nie!... Nawet nie myśl o tem!...

ROMAN

A to co znowu?...

STEFA

(do Romana) Nie wiesz, jakie znaczenie ma to drzewo dla mamy. Własnemi rękami zasadziła je tam, pod oknem; a było to wtedy, gdyś poraz pierwszy nas opuścił. Ja i Lili byłyśmy wtedy... o... takiemi szkrabami!... A już jako dziecko, nie wiem czemu, korciło mnie zawsze, żeby grzmotnąć w to drzewo kamieniem i zwalić je! Dostawałam za to cięgi od mamy, ale nie pomagało... Przestałam dopiero walić kamieniami, kiedy mi mama powiedziała, że powinnam kochać to drzewo i podlewać, bo gdy ładnie i zdrowo wyrośnie, to wrócisz do nas i będziemy wtedy szczęśliwi...

ROMAN

Dosyć... Dosyć... — —

STEFA

...Czy zły jesteś na mnie, że powiedziałam ci o tem?...

ROMAN

Wracałem tu... i odjeżdżałem znowu... Teraz już nie odjadę... Lecz, czy będziemy szczęśliwi?...

POKOJÓWKA

(wraca; przyniosła na tacy butelkę wina i kieliszki)

ROMAN

A więc... złóżmy ofiarę......

(Lili i Zbyszek przestali grać w ping-pong przy stole na tarasie i zbliżają się teraz do Marji)

STEFA

(wskazała pokojówce, by tacę z winem postawiła na stoliku pod oknem na tarasie)

POKOJÓWKA

(spełniła rozkaz i odchodzi)

SCENA 8.

ROMAN — MARJA — LILI — STEFA — ZBYSZEK

STEFA

(krząta się na tarasie) Zbliż się, tatusiu... Nalewam... Podaję ci kieliszek... i biorę drugi... Otwórz okno, tatusiu...

LILI

(do Marji) Ojciec się tem zanadto wzruszy.

MARJA

A ja wtedy już nic nie poradzę...

ZBYSZEK

Mateczka zawiele pobłaża Stefie...

MARJA

Lepiej nie mów ze mną o tem...

STEFA

(przez otwarte okno grzmotnęła butelkę o drzewo) Ofiara! *(słychać brzęk stłuczonego szkła)* A teraz trącamy się... i pijemy. Parę tylko kropel, tatusiu!...

ROMAN

Ofiara — *(upił odrobinę wina i pełny jeszcze kieliszek wylał za okno, poczem kieliszek grzmotnął o drzewo)*

STEFA

Za tobą, tatusiu! *(upiła odrobinę wina i pełny jeszcze kieliszek grzmotnęła o drzewo, poczem zamyka okno i opiera rozkrzyżowane ręce o parapet okna, twarzą zwrócona do Romana)*

ROMAN

(wyciągnął ręce do Stefy) Córuś moja!

STEFA

Tatusiu mój!... *(rzuca się w jego objęcia)*

ZBYSZEK

Mamo... Nie mogę i nie chcę być świadkiem takich scen!... Zażądałem też od Stefy, by aż do ślubu zamieszkała u mojej ciotki.

STEFA

Odmówiłam! Niepotrzebnie wracasz do tego tematu! Czy chcesz, byśmy się znowu posprzeczali?...

ZBYSZEK

Stefa!... Nie doprowadzaj mnie do ostateczności!

STEFA

Powiedziałam już raz, że nie dam sobie czegoś podobnego narzucić!

ZBYSZEK

Niech mama rozstrzygnie.

MARJA

Córki moje przyzwyczajone do samostanowienia...

ZBYSZEK

(do Stefy) Zatem nie chcesz ustąpić?

STEFA

Nie!

ZBYSZEK

W takim razie... choć mi to bardzo przykre... zmuszony jestem zerwać.

STEFA

Proszę!... Oto pierścionek pana!

ZBYSZEK

Oto pierścionek pani... Żegnam...!... *(odchodzi)*

SCENA 9.

ROMAN — MARJA — STEFA — LILI

ROMAN

(po chwili do Stefy) Czy... żałujesz?...

LILI

(szybko wtrąca) Zbyszek wróci —

STEFA

O, nie znasz go!... Teraz nie ustąpi! *(odruchowo spojrzała na drzewo za oknem)* To przeklęte drzewo znowu uderzyło o szyby!

ROMAN

Daj spokój temu nieszczęśliwemu drzewu... Co to? Łzy w oczach?

STEFA

Puść mnie! *(odtrąciła Romana i wybiegła z hallu)*

LILI

(pospieszyła za Stefą)

SCENA 10.

ROMAN — MARJA

ROMAN

Ależ ten dureń nie był jej wart!... *(po chwili)* No, Maryna!... Powinnaś się teraz cieszyć, że nie musimy Stefy oddać takiemu bubkowi!

MARJA

Cieszyć się, gdy widzę, że zatłamsiło się młodość moich córek?... Nie od dziś... i nie od wczoraj!... *(po chwili)* W zaślepieniu swojem nie zauważyłeś tego, że Stefa kocha Zbyszka. Dla niej był on właśnie tym człowiekiem, przy którego pomocy spodziewała się urządzić sobie życie tak, jak tego pragnęła. *(po chwili)* Uprosiłam Zbyszka, żeby Stefie nie powtarzał jak go ty traktujesz. I wiem, że milczał. Mamy zresztą na to dowody. Stefa byłaby inaczej zareagowała, gdyby znała całą prawdę... Teraz już zdaje ona sobie sprawę, że przez ciebie zerwała ze Zbyszkiem, i nie przebaczy ci tego nigdy.

ROMAN

Zamilcz!... Zamilcz!... Czuję to, że mnie nienawidzisz w tej chwili!

MARJA

Romku!... Dlaczego nie chcesz tego zrozumieć, że cierpi tu matka!... Że... cierpi... żona — ! —

ROMAN

Nie!... Nie!... Nie!... To ty nie możesz mnie zrozumieć! *(z autoironją)* Uczyłaś tutaj żyć inaczej!... Teraz co?... Teraz głową uderzyłem o mur!... *(po chwili)* Zawołaj tu Stefę i Lilę...!...

MARJA

Nie w tej chwili, gdyś rozdrażniony...

ROMAN

Nie sprzeciwiaj się! Zawołaj je tu obie.

MARJA

Uczynię to, lecz pamiętaj...

ROMAN

Już ani słowa...!... Nie mów już nic!

MARJA

(odchodzi)

SCENA 11.

ROMAN *potem* MARJA — STEFA — LILI

ROMAN

(chwilę stoi zamyślony, potem nerwowym ruchem ręki przeciera czoło i oczy coraz natarczywiej, z coraz większem naprężeniem woli, by skupić się w sobie; podniósł wreszcie głowę i wzrok skierował w stronę drzewa za oknem; patrzy na to, jak wicher wygina gałęzie na wszystkie cztery strony świata. Znowu przeciera oczy i czoło)

MARJA

(wraca ze Stefą i Lilą)

ROMAN

Marnotrawny wasz ojciec grzeszył wiele... i nigdy tego nie żałował... Żałuje tylko, że tu wrócił... i za ten powrót przeprasza —

MARJA

Romanie!

ROMAN

(ciągle z autoironją) Przychodzą na człowieka takie chwile poznania... Ktoś dolewa o jedną kroplę zawiele...

LILI

Tatusiu... *(chce go w rękę pocałować)*

ROMAN

Nie tak... To ja raczej.... *(całuje Lilę w rękę, potem zbliża się do Stefy)* I ty Stefa, przebacz... *(stara się ująć obie ręce Stefy)*

STEFA

Zostaw! Już przestałam cię kochać!

ROMAN

Czuję to... Ha!... Trudno!... *(cofając się, zbliżył się do drzwi swego pokoju i lekko oparł głowę o fałdy kotary przy drzwiach, nie spuszczając wzroku z twarzy Stefy)* Gdy odejdę teraz i powiem „dobranoc", nie rzucisz już ojcu całusa... *(odsunął kotarę, która w ciężkich, pionowych fałdach opada na podłogę; teraz już stoi w zagłębieniu drzwi, i jakby sobie coś nagle przypomniał, odwraca głowę i mówi do żony)* Każesz Maryna jutro ściąć tamto drzewo. *(zasunął kotarę; lecz już w następnej chwili nerwowe jego palce czepiają się jej fałdów i ukazują się tylko jego ręce, gdy mówi)* Zagraj mi... Lili... raz jeszcze walc Brahmsa *As-dur*... *(zniknęły ręce, fałdy kotary zasłoniły drzwi i zgrzytnął klucz we drzwiach)*

SCENA 12.

MARJA — LILI — STEFA *potem* DOKTÓR

(Milczenie)

LILI

(powoli, jak zahipnotyzowana, zaczyna grać)

DOKTÓR

(wchodzi) Dobry wieczór!... Spóźniłem się... Gdzie Roman?

MARJA

W swoim gabinecie.

(W tej chwili z pokoju Romana dochodzi huk wystrzału)

MARJA

Roman!!!... Doktorze!... Prędzej!... Tamtędy!... Tam jest drugie wejście! *(wybiegła)*

DOKTÓR

(do Stefy, która chce biec za matką) Spojrzyj pani na siostrę; potrzebuje pomocy. *(odszedł śpiesznie za Marją)*

SCENA 13.

LILI — STEFA

LILI

(z krzykiem) Wrócił tu, żeby umrzeć!... Wrócił tu, żeby umrzeć!... *(odsunęła Stefę, która ją cuciła)* Niech tam otworzą drzwi... Wiem, że już nie żyje.

STEFA

(szarpnęła kotarę i wali pięściami w drzwi) Wpuście mnie tam!... Chcę mu powiedzieć, że skłamałam!... Tatusiu!... Skłamałam!... Kocham cię, tatusiu! *(runęła na klęczki z rozkrzyżowanemi na drzwiach ramionami)* Słyszysz tam! Kocham cię tatusiu!

(Drzwi gabinetu otwierają się i wchodzi Marja)

SCENA 14.

MARJA — STEFA — LILI

LILI

Mamo!... Ojciec nie żyje!...

MARJA

Już nie cierpi —

STEFA

(chce wejść do gabinetu, ale poruszywszy klamką parę razy, przekonała się, że zamknięte. Z jękiem osunęła się wzdłuż drzwi) Tatusiu! *(płacze coraz gwałtowniej)*

ZASŁONA

WOLNA AKADEMJA

SZTUKA W TRZECH AKTACH NAPISAŁA ANIELA KALLAS

OSOBY:

MISTRZ ANDRZEJ
PIOTR
STANISŁAW
KLAUDYNA
IRENA
ZULA

UCZNIOWIE — UCZENICE — STRAŻ OGNIOWA

Rzecz dzieje się współcześnie.

AKT I.

Wspaniały hall, podzielony na dwie kondygnacje. Schody w głębi, prowadzą na taras; stąd z jednej strony: w głąb mieszkania, z drugiej: do ogrodu. Przez japońską ścianę szklaną, rozsuniętą, widać bardzo ładne partje rozległego ogrodu z serpentynowo wznoszącą się perspektywą. Na pierwszej kondygnacji drzwi na lewo i na prawo. Urządzenie hallu pałacowe. Wszędzie dużo kwiatów.

SCENA 1.

IRENA — UCZENICE — UCZNIOWIE

(Irena wchodzi w kitlu malarskim, za nią uczenice i uczniowie)

UCZEŃ I

Jeśli nam pani profesorka przyrzeknie, będziemy pewni, że podejmie się orędownictwa do mistrza Andrzeja.

IRENA

Dlaczego jesteście tak niecierpliwi?... Powiedziałam, że należy przeczekać czas jakiś...

UCZENICA II

Tak... Ale wydalone koleżanki napierają na nas...

UCZEŃ II

Tu stała się krzywda!

UCZENICA I

Cicho tam!

IRENA

Tu nie może być mowy o krzywdzie. Mistrz Andrzej miał to przekonanie, że postąpił sprawiedliwie.

UCZENICA II

Ale doprawdy, proszę pani profesorki, że nasze koleżanki niewinnie zostały wydalone z akademji...

IRENA

Jeszcze raz proszę: czekajcie cierpliwie. Znajdujemy się w przededniu wielkich zmian... Nie mówić o tem i czekać... A teraz zostawcie mnie samą.

UCZEŃ II

Przepraszamy...

UCZENICA I

Ale pani profesorka zawsze taka dobra dla nas i przebaczy nasze natręctwo...

IRENA

Idźcie już...

UCZENICA I

Wynosić się, koledzy i koleżanki!... *(wypchnęła ich; odwraca się do Ireny i pyta troskliwie)* Pani profesorka taka blada dzisiaj... Czy mogę zostać przy pani i usłużyć?

IRENA

Dziękuję... Niczego mi nie trzeba — *(przymyka drzwi za ostatnią uczenicą)*

SCENA 2.

IRENA — STANISŁAW *potem* ANDRZEJ *wreszcie* KLAUDYNA — ZULA

IRENA

(z wyrazem wyczerpania usiadła przy stoliku; łokcie oparła o stolik, głowę ujęła w dłonie)

STANISŁAW

(ładny młodzieniec o chorowitym wyglądzie, starannie i pretensjonalnie ubrany, wraca z ogrodu; przyniósł skrzynkę z farbami, polowe sztalugi i obraz. Tamto składa przy drzwiach, z obrazem podchodzi do Ireny i chwilę pokornie czeka) Czy mogę pokazać, co namalowałem?

IRENA

(na dźwięk jego głosu wstrząsnęła się, potem powoli wyciąga ręce po obraz. Ogląda i oddając, mówi) Martwe —

STANISŁAW

(targa obraz) ...Pismo święte powiada: „Jeśli cię gorszy oko twoje, wyłup je"...

IRENA

(z ironją) Nie wiedziałam o tem. *(Podniosła się z miejsca, nerwowo zatrzymuje się to tu, to tam, poprawia machinalnie kwiaty w wazonach)*

STANISŁAW

Mam prawo zniszczyć!

IRENA

Zdradziłeś znowu twoje chamskie instynkty —

STANISŁAW

Nie mów tak! ...Nie masz prawa mną poniewierać!

IRENA

(odwróciła się plecyma i zapala papierosa)

STANISŁAW

Iruś...!... Już będę milczał...

IRENA

Nie łaź tak za mną!... Czy się to już nigdy nie skończy?!...

STANISŁAW

(podrażniony) Już milczę!... — Ja... milczę, Ireno!...

ANDRZEJ

(siwiejący, piękny, starszy pan; fizjognomja szlachetna; ubrany w aksamitną kurtkę bronzową, krawat artystycznie wiązany; staje w dzwiach otwartych do pracowni uczniów na prawo i mówi) Do widzenia, panowie!... Następna lekcja, jak o zwykłej porze! *(przymyka drzwi, postępuje kilka kroków, zobaczył Stanisława)* A ty, Stachu?... Jakże się dzisiaj czujesz? Pracowałeś pilnie... Widziałem cię przez okno... Wybrałeś bardzo ładny motyw w ogrodzie —

IRENA

Potargał ten obraz, a malował cały tydzień!...

ANDRZEJ

(do Stanisława) Tego nie godziło się uczynić. Mogłeś odłożyć, a po jakimś czasie obejrzeć znowu dla kontroli i przynieść mi go do korekty.

STANISŁAW

Nie mogłem się opanować —

(Klaudyna ukazuje się z Zulą na górze. Obie z naręczami kwiatów. Zula ubrana sportowo; Klaudyna bez kapelusza, w pięknie batikowanej chustce jedwabnej, która kryje całą prawie suknię. Schodzą na dół)

KLAUDYNA

Irka!?... Jakto?... Jeszcze w kitlu malarskim?!... Piotr przyjeżdża!... Czyś zapomniała?

IRENA

Nie zapomniałam —

KLAUDYNA

Za pięć minut pociąg stanie na dworcu. Wprawdzie to kilkadziesiąt kroków stąd, gdy wybierzemy drogę przez

ogród. Ale śpiesz się!... *(do męża)* Ach, żebyś wiedział Andrzeju, jakie poruszenie jest w pawilonie sztuki na pierwszym i drugim kursie!... Nie mogą już spokojnie pracować, odkąd usłyszeli, że Piotr przyjeżdża... Wybiegli na drogę, żeby go zobaczyć. Irka!... Już nie masz czasu na przebieranie... Ale zdejm kitel i zarzuć moją chustkę. *(zdejmuje)* Wspaniała, co?... I z mojego bukietu masz tu znaczną część...

IRENA

To niepotrzebne. Nie pójdę z wami na dworzec.

(gwizd lokomotywy)

ZULA

Już pociąg zajechał!... Spóźnimy się!...

KLAUDYNA

Idziemy bez Ireny... *(zarzuciła chustkę)* Ale co ja powiem Piotrowi?

ZULA

Mamo!...

KLAUDYNA

Już idę! *(odchodzi śpiesznie z Zulą)*

SCENA 3.

ANDRZEJ — IRENA — STANISŁAW

ANDRZEJ

(patrzy na Irenę i milczy znacząco)

IRENA

Nie jesteś ze mnie zadowolony, Andrzeju...

ANDRZEJ

Mylisz się... *(wziął ją za rękę)* Cierpię z tobą razem...

IRENA

Dziękuję ci — *(uścisnęła mu dłoń i chce odejść)*

ANDRZEJ

Odchodzisz?... Nie umiem kłamać, Ireno... Cóż powiem Piotrowi? *(zbliżył sie do niej, znowu wziął ją za rękę)* Jesteś mi więcej, niż siostrą... Jesteś mi jakby córką... Ja, najstarszy z rodzeństwa, ty najmłodsza ... I tylko my dwoje zostaliśmy... — ...Ireno... czy kochasz jeszcze Piotra?... Widziałaś... Klaudyna poszła go witać, jak monarchę...

IRENA

(chce odpowiedzieć, lecz rozmyśliła się i dopiero po chwili mówi) Nie czyń Piotrowi żadnych wymówek... Witaj go, jak dawniej... Ja sama z nim pomówię... Ale nie teraz... Bądź dla niego dobry... *(ostatnie słowa już z ręką na klamce)*

ANDRZEJ

Twoja wola niech się stanie —

IRENA

(odchodzi, spojrzeniem tylko dziękując bratu za objawioną delikatność)

SCENA 4.

ANDRZEJ — STANISŁAW *potem* PIOTR

STANISŁAW

(stoi w głębi na tarasie, w pobliżu otwartych drzwi)

ANDRZEJ

(przechadza się nerwowo po hallu)

(słychać sygnał nadjeżdżającego auta)

(okrzyk za oknami z kilkunastu piersi i gwar młodych głosów)

„Niech żyje mistrz Piotr!“

ANDRZEJ

(zatrzymuje się na środku hallu) Poszaleli!...

(chwila oczekiwania)

STANISŁAW

(stoi w drzwiach, wpatrzony w ogród)

PIOTR

(stanął w głębi i mówi do kogoś w ogrodzie) Dziękuję wam koledzy! *Au revoir!...*

GŁOSY UCZNIÓW

Niech żyje mistrz Piotr!

PIOTR

(ruchem ręki dziękuje i uśmiechem, rozgląda się, orjentuje się gdzie jest, zbiega po stopniach, na ostatnim stopniu zatrzymuje się i z wyciągniętemi w stronę Andrzeja ramionami, mówi) Otóż jestem!... Witaj, drogi mistrzu!... *(przybiegł do Andrzeja, całuje i ściska go serdecznie)*

ANDRZEJ

Bądź pozdrowiony, w naszym domu, Piotrze!... Nie spotkałeś Klaudyny i Zuli?... Poszły na dworzec, żeby cię przywitać...

PIOTR

(odrzucił płaszcz i czapkę sportową, poprawił ubranie i czuprynę) Nie przybyłem zapowiedzianym pociągiem... Nie gniewaj się, gdy usłyszysz, że zdołałem już autem objechać całe letnisko dokoła, zanim tu przybyłem. Naturalnie podziwiałem z różnych stron wasz zameczek na malowniczem wzgórzu, i tę orgję barw w waszym ogrodzie. *(rozgląda się)* A więc to tutaj!... Czcigodne mury!... Ale wiesz, Andrzeju! Twoi uczniowie są naprawdę młodzi. A to ich przywitanie!... Wyznaję, byłem zaskoczony, bo nie spodziewałem się, że znają moje paryskie obrazy.

STANISŁAW

(stoi teraz oparty o kolumnę przy schodach i mówi nieco przewlekłym głosem) Oni nie dla obrazów tak owacyjnie pana witali. Obrazów tych nigdy nie widzieli. Ale podobiznę pana w ilustracjach... Znają pana z rekordów sportowych... Podziwiają w panu sportowe wyczyny... I to, że pan podobny do sławnego aktora filmowego.

PIOTR

(nagle ochłódł w zapale i zwraca się do Andrzeja, pytając ściszonym głosem) Kto to?...

ANDRZEJ

Przepraszam... Zapomniałem przedstawić... Mój uczeń, Stanisław Żarski.

PIOTR

Ach, taak!...

SCENA 5.

ANDRZEJ — PIOTR — STANISŁAW — KLAUDYNA ZULA

KLAUDYNA

(przychodzi z ogrodu razem z Zulą i, zstępując po schodach, mówi) Patrzajcie!... My po niego do pociągu, a on tu autem zajechał!... Jak się masz, Piotrze kochany!... Masz tu kwiaty!... Dla ciebie ofiarowane!... I moja córa kwiaty ci podaje!... Urosła, co?... Nie byłbyś jej może poznał?...

PIOTR

Owszem!... Dziękuję za kwiaty, droga pani Klaudyno!... *(całuje jej ręce)*

ZULA

Moje uznanie sławnemu sportsmenowi i znakomitemu artyście!...

KLAUDYNA

Psują cię kobiety!... Niechże i tak będzie!... Bylebyś nas tu kochał, jak dawniej!

PIOTR

A Ireny czemu tu niema?

KLAUDYNA

...Myślę, Andrzeju, że pobiegła na dworzec...

PIOTR

I czekać tam pewnie będzie aż do nadejścia drugiego pociągu!... Poślijcież po nią i powiedzcie, że już tu jestem!

KLAUDYNA

Zaraz się tem ktoś zajmie... Ale pozwólcie na przekąskę.

PIOTR

Najzacniejsza pani Klaudyno!... Zechciejcie mnie na razie zostawić tutaj...

ANDRZEJ

Gdzież twój bagaż podróżny?

PIOTR

Byłem w towarzystwie redaktora Giżyckiego i zajechaliśmy razem do hotelu. Letnisko tutejsze szybko się rozwija —

ANDRZEJ

Dużo w tem zasługi mojej żony...

KLAUDYNA

(krzątała się na tarasie, gdzie kwiaty włożyła do wazonu; teraz schodzi po schodach i mówi) Żebyś wiedział, Andrzej wszystko, co pięknego i dobrego się tu dzieje w promieniu kilkunastu kilometrów, mnie przypisuje... A cóż ja!... On tak działa na ludzi samem brzmieniem swojego sławnego nazwiska... Stachu!... a nie stój-że tam przy schodach, ale zbliż się tu do nas...

STANISŁAW

Zostanę tutaj —

KLAUDYNA

(do Piotra) Należy do naszej rodziny. Ty, Piotrze, najstarszy syn duchowy mojego męża, a Stach najmłodszy!... Dopóki nie przybędzie jeszcze najmłodszejszy, bo się tu garną do Andrzeja, że go już dla siebie mało co mam!... Ale opowiadaj Piotrze o swej podróży!...

PIOTR

(zapalił papierosa sam, gdy Andrzej odmówił) Wyobraźcie sobie... kiedy już telegram do was był wysłany, strzeliła mi do głowy myśl, żeby wziąć auto, a przybędę wcześniej. Opowiadam o tem redaktorowi Giżyckiemu, który, jak wiecie, zaprosił mnie do Krakowa, a nawiasem mówiąc, zrobił kolosalną reklamę dla mojej tam wystawy... i otóż on, w przemiły sposób sam ofiaruje się przewieść mnie tutaj. Ma wspaniałą limuzynę.

ANDRZEJ

(do Klaudyny) Zajechali razem do hotelu —

KLAUDYNA

Sprowadzisz się tutaj, Piotrze!... W hotelu zostać ci nie pozwolę. A twojego redaktora musisz mi tu zaprosić. Niech obejrzy naszą wolną akademję i coś o niej napisze w swojej gazecie. Andrzej zupełnie się nie troszczy o poparcie prasy!... No, widzisz!... Machnął na to ręką!... A prasa u nas najczęściej na śmierć o kimś przemilczy!... Jakże pod tym względem w Paryżu?...

PIOTR

Sprawa ta już od dawna została tam uregulowana. Płaci się za recenzje!... Sztuka jest dzisiaj nie dla wybranych jednostek, lecz *pour le peuple!* Powinna też być po kupiecku reklamowana! *(do Stanisława)* Wspominał pan przedtem o moich rekordach sportowych, że one to uczy-

niły moje nazwisko głośnem. Otóż to!... Najpierw musimy na siebie zwrócić uwagę, a potem dopiero zainteresują się naszem dziełem. *(Do Andrzeja)* Najsławniejszy artysta, czy literat, jeśli usunie się od dzisiejszego zgiełku jarmarcznego, skazany na zapomnienie. „Jakto? Ten jeszcze żyje?“ — zapytają... — Wy tu, wiem o tem, innego jesteście zdania!... Ty, Andrzeju, już się nie zmienisz i pozostaniesz romantykiem, jakim zawsze byłeś!...

ANDRZEJ

Czy dla tego, że nie upodobniłem się do tych, którzy zabiegają o rozgłos, by najrychlej stanąć przy pełnym żłobie...?... Był czas, że i ja dobijałem się sławy. Któryż artysta nie marzy o sławie?... Lecz przekonałem się, że nie to, co wy nazywacie sławą i powodzeniem, daje nam owo radosne zadowolenie, kiedy to czujemy się szczęśliwi ponad wszelką miarę... Powodzenie przyjąłem, jak coś, co mi się należało. Atoli najszczęśliwsze chwile w mojem życiu, to były te, jakie dała mi kobieta, którą kocham, i twórcza praca. Dopóki Klaudyna jest przy mnie, dopóki mam to przekonanie, że tworzę coś, co mnie przyżyje, czuję się zadowolonym... Pochwały w prasie nigdy nie dawały mi tyle radości, ile jej miałem przy pracy twórczej, gdy sam na sam byłem z mojem dziełem. Dlatego o pochwały nie zabiegałem... Przeczulony tylko jestem, gdy czytam w prasie zarzuty ignorantów, o których niewiadomo, co im daje prawo ferowania wyroków... Tak, przyznaję, że nigdy spokojnie znosić nie mogłem napaści, podyktowanej złą wolą, lub ignorancją... To może sprawiło, że trzymałem się na uboczu, zdala od wszelkich koteryj...

PIOTR

Wiem!... Stroniłeś zawsze od walki. Mogłeś sobie pozwolić na pracę w samotności; nie musiałeś malować tak, by schlebiać gustowi snobów. Byłeś bogaty i niezależny. Dzisiaj lekceważysz nas, którzy walczymy o rozgłos, by zdobyć egzystencję, i móc spokojnie tworzyć... Czy sądzisz

Andrzeju, że łatwo mi przyszło, wyszedłem przecie z twojej szkoły, dostosować się do przeobrażeń, toczących się w zawrotnem tempie? Chciałem zdążyć na czas do mety, by nie być wyrzuconym za nawias!... Moja młodość, to były lata ciężkiej walki, by tylko nie dać się zdystansować. W tej walce stałem się może bezwzględnym, nieustępliwym... no, nie tak bezwzględnym wszakże, by nie zrobić ustępstwa na rzecz tych, których, jak oto was, miłuję szczerze i mocno, nie przez pół tylko, bo u mnie: „albo“ — „albo“! Jeśli daję się komuś, to cały, bez reszty!

KLAUDYNA

Piotr ma słuszność, Andrzeju. Ci młodzi są inni, niż my, i tak jest lepiej. Żałuję tylko, że są od nas mniej szczęśliwi; nie mają tych złudzeń, jakie my mamy!

PIOTR

Droga, kochana pani Klaudyno!... *(całuje jej ręce)* A więc zawsze jeszcze taka optymistka?... Gdy ja, po czterech latach, spędzonych zdala od was, zgorzkniałem, widzę w twarzy pani ten sam, co i dawniej, promienny uśmiech szczęścia!... To panią czyni zawsze młodą i piękną... Już tego wyrazu nie widzę w twarzy Zuli...

ZULA

Ja też znacznie rozsądniej na świat patrzę. Czynię także co mogę, żeby matkę wychować nowożytnie. Niestety, gdy już pewna jestem, że mi się to udało, znowu wymyka się z pod mojej opieki.

KLAUDYNA

Wygadujesz niesłusznie. Moje poczucie współczesności jest, jak na byłą hrabinę, wystarczające!... *(zaśmiała się, a potem już kończy poważnie)* A wolna akademja sztuk pięknych?

ZULA

(do Piotra) Wielka szkoda, że tu pana nie było na uroczystem otwarciu tej akademji!...

PIOTR

Wyobrażam sobie! Ucztowano zapewnie cały tydzień?

ZULA

Gdzie pan tylko w tem letnisku zobaczy jaki ogród, wszystkie grządki kwiatowe i klomby, otoczone są flaszkami, które po tej uczcie zostały. A półmiskami potraw, jakie wtedy podawano, możnaby wytyczyć drogę aż do naszego miasteczka.

KLAUDYNA

Przesadzasz potwornie!... Rozmyślne, a szpetne deformowanie prawdy!... To, co jest także w modernistycznej sztuce, której nic a nic nie rozumiem!... Piotrze, ale ty wyzwoliłeś się już z tego kierunku?

PIOTR

...Passé!... Poszedłem też własną drogą... Zobaczycie moje obrazy... Nadejdą jutro... Chciałem, żebyś je zobaczył, Andrzeju...

ZULA

Czy to prawda, że w dzielnicy Montparnasse mizerota malarska w Paryżu sprzedaje swoje obrazy na ulicy?

PIOTR

Jeśli nie czynią tego sami, to ich w tem wyręczają przyjaciółki. Każdy ma tam swoją kobietkę... Ale te dziewczęta wiedzą o tem, że fala życia za rok, lub za dwa, porwie nas gdzieindziej, i nie żądają wierności.

ZULA

Doskonale! Tak i ja pojmuję miłość mężczyzny i kobiety.

KLAUDYNA

...Nie wierz jej, Piotrze...

ZULA

A ja słowo ci na to daję, Klaudyno, że to jest moje najistotniejsze przekonanie. Możesz wierzyć, lub nie wierzyć!...

KLAUDYNA

Nigdy nie uwierzę.

ZULA

Powinnaś się z tymi poglądami oswoić, bo to jest dzisiejsze życie. Nie możesz ciągle spoglądać wstecz, bo stracisz grunt pod nogami —

KLAUDYNA

(machnęła ręką)

PIOTR

Zula! Podajmy sobie dłonie!

ZULA

Owszem!

KLAUDYNA

Lecz ty, Andrzeju, ze mną?... Czegóż nagle taka cisza się zrobiła?...

ZULA

(z pobłażliwem szyderstwem) Dziś pełnia księżyca, Klaudyno!... Między niebem, a ziemią snują się szkodliwe promienie!...

STANISŁAW

(ciągle jeszcze stoi oparty o kolumnę przy schodach) Są także ludzie, wytwarzający aurę szkodliwą!...

PIOTR

To było powiedziane pod moim adresem, czy tak?!

STANISŁAW

Nie do pana mówiłem —

KLAUDYNA

Ależ naturalnie!... Stachu!... Może pójdziesz na drogę w stronę dworca i zobaczysz, czy Irena wraca —

STANISŁAW

Ireny nie było na dworcu!...

KLAUDYNA

Ale... co ty wiesz!... Idź, skoro cię proszę! *(wypchnęła go)*

ZULA

A ja uciekam!... Mam tenis o tej porze!... Do widzenia, sportsmenie nasz! *(ściska rękę Piotra)* Do widzenia, mistrzu Andrzeju! *(całuje go)* Do widzenia, Klaudyno! *(objęła ją za szyję i całuje mocno, poczem wybiega)*

SCENA 5.

ANDRZEJ — KLAUDYNA — PIOTR *potem* IRENA

PIOTR

...Ireny jeszcze tu niema...!... Przypominam sobie... Żarski powiedział, że wcale nie wyszła po mnie na dworzec. Może Irena nie chce się ze mną zobaczyć?... Andrzeju!... Muszę znać całą prawdę!...!...

ANDRZEJ

...Wasza osobista to sprawa... — Życie często stwarza sytuacje takie, że zerwane zostają węzły przyjaźni i miłości.

KLAUDYNA

Andrzeju!...?!... Cóż znowu!... Ależ to tylko nieporozumienie!... Mam wrażenie, że istotnie fatalna aura snuje się dziś między nami!... I niech tam Zula drwi sobie z tego, ale ja w to wierzę, że jesteśmy dziś w kręgu złych, księżycowych promieni!... ...Nie postanawiajcie dzisiaj niczego... ...Piotrze!... Słuchaj... Jesteś tym kochanym, najstarszym niby synem Andrzeja; a wszakże sam to przyznać musisz, że zawdzięczasz mu wiele!...

ANDRZEJ

Klaudyno!...

KLAUDYNA

Piotr nie weźmie mi tego za złe, że mu przypominam o wdzięczności, bo chyba to sam czuje, że co mówię, pochodzi z serca, które was kocha!...

ANDRZEJ

Wątpię, czy potrafimy zatrzymać go tutaj —

PIOTR

Wróciłem do was, jak do rodzicielskiego domu, którego prawie nie znałem... Zapewne, że zmieniłem się w międzyczasie. Lecz bierzcie mnie, jakim jestem...

KLAUDYNA

Weźmiemy i trzymać będziemy mocno.

PIOTR

O, nie!... Muszę się czuć swobodny!...

KLAUDYNA

Drogi Piotrze... Ustępstwa muszą być obustronne... i rozsądne. Główna rzecz: abyś nas kochał, jak my ciebie.

ANDRZEJ

Klaudyno moja... Zawsze z rozpostartemi ramionami... zawsze pierwsza biegniesz na spotkanie człowiekowi i wypadkom... Ileż ty razy nabijałaś sobie guza, uderzając głową o mur...

KLAUDYNA

„Wygoi się"!... — wołałam wtedy i biegłam dalej!... Zobaczysz Andrzeju, że Piotr zostanie z nami i będzie mu tutaj dobrze!

PIOTR

Droga pani Klaudyno... Za tyle pięknych uczuć nie wiem doprawdy jak podziękować... Nie umiem... I choćby to miało być na przekór temu, co powiedziała pani o ja-

kichś złych prądach, rzekomo z powodu, że dziś przypada pełnia księżyca, muszę teraz, bez zwłoki, sam na sam rozmówić się z Ireną. — Ale... ale!... Poproszę jeszcze o pewne informacje, dotyczące tego Żarskiego... Kim jest ten młodzieniec dla was, dla Ireny zwłaszcza! Podchwyciłem parokrotnie jego błędne spojrzenie, a na twarz występowały mu wypieki, ile razy ktoś wspominał o Irenie —

KLAUDYNA

Nieszczęśliwy człowiek... Instynktownie szuka ratunku w sztuce... A twierdzi Andrzej, że ma duży talent. Syn po ciotecznej mojej siostrze, więc i krewniak także. Przywiązał się do nas. A dla Ireny żywi jakiś kult bałwochwalczy, i to od pierwszego dnia, jak tu nastał...

PIOTR

A więc tak!... Ale to zastanawiające... Chwilami spojrzenie jego jest zupełnie tępe; to znów zabłyśnie w jego oczach coś niesamowitego, co mi przypomina furjata, jakiego raz widziałem na ulicach Paryża, a który uciekł z domu warjatów —

ANDRZEJ

(zamienił z Klaudyną spojrzenie) Żarski był przez dwa lata w sanatorjum dla nerwowo chorych.

PIOTR

Umysłowo chory!... Czy nie zdajecie sobie sprawy, że pewnego dnia może u tego cichego obłąkańca wybuchnąć szał?...

KLAUDYNA

Nie przypuszczam nic złego... Ja, jeśli kiedy wróżę, to zawsze tylko dobrze!

IRENA

(wchodzi i zatrzymuje się na schodach)

PIOTR

Irka! *(biegnie ją powitać; nagle przystanął; patrzą na siebie)* Jak się ty zmieniłaś... Czyś była chora?... *(całuje jej ręce)* I cóż?... Nie witasz się ze mną?...

KLAUDYNA

Ireno... Trzymasz w swoim ręku nietylko los swój i los Piotra, lecz także los naszej akademji... *(spojrzała na Andrzeja)* Zostawmy ich teraz samych, Andrzeju!... *(odchodzi z Andrzejem)*

SCENA 6.

IRENA — PIOTR

PIOTR

...Los mój... twój... waszej akademji — ? — Cóż to za tajemnice?

IRENA

Myślała o planach, związanych z twoim powrotem do kraju —

PIOTR

Bezemnie robiliście plany, mnie dotyczące?

IRENA

Jedynie Klaudyna...

PIOTR

Cóż to za plany?

IRENA

Byś wspólnie z Andrzejem objął kierownictwo akademji...

PIOTR

Co?!... Ależ to nonsens!... Tę waszą akademję sztuk pięknych poważni ludzie traktują z drwinami!

IRENA

Andrzej nigdy nie powinien się dowiedzieć o tem, coś powiedział...

PIOTR

Zostawmy to na razie... Jeszcześmy się nie przywitali... Czy już mamy się sprzeczać?

IRENA

Promieniejesz zadowoleniem. Błogosławiony niech będzie dzień, w którym cię takim właśnie widzę... Spełniło się —

PIOTR

Pamiętam! Mówiłaś do mnie nawpół żartem, nawpół serjo, gdy w Vincennes siedzieliśmy w ogrodzie, a gwiazdy zaglądały nam w oczy... „Z wszystkich słońc w kosmosie, aureola sławy na twoją głowę, Piotrze!" Tak mi życzyłaś, nie myśląc o sobie. A przecie i ty jesteś artystką!... Zawsze o moją tylko sławę się troszczyłaś!... Bo, czy nie usunęłaś się dobrowolnie, gdy widziałaś, że z miłości dla ciebie zaniedbuję się w pracy! Miłość twoja mocna i odurzająca. Zasłaniałaś mi wtedy tą miłością świat cały...

IRENA

A teraz?

PIOTR

Teraz obrastać zaczynam sławą i tłuszczem. Świat pofatygował się do mnie... I oto wraca... małżonek niewierny...! A przypominam jeszcze jedno: Pierwsza zaproponowałaś wówczas w Paryżu rozłąkę bezterminową, by każde z nas mogło bez reszty poświęcić się sztuce.

IRENA

Spełniłam twoje życzenie, którego nie śmiałeś wyjawić. Nie wiedziałam, że tylko ja zostałam skazana...

PIOTR

No, tak...!... Rozumiem... Ale wy kobiety...

IRENA

Nie mamy zmysłów, sądzisz?...

PIOTR

Ireno!... Jeśli jest tak, że ktoś stanął między nami, powiedz to odrazu — ! —

IRENA

Stanęła między nami moja wola —

PIOTR

Nie rozumiem — ? —

IRENA

(ze smutnym, pobłażliwym uśmiechem) Nie zmieniłeś się ani trochę. To tylko ja się zmieniłam... Trudno ci będzie zrozumieć mnie teraz...

PIOTR

A więc jest coś, co stanęło między nami...!

SCENA 7.

PIOTR — IRENA — STANISŁAW

STANISŁAW

(wchodzi drzwiami dolnemi na lewo i zatrzymuje się przy drzwiach. Patrzy na Piotra, potem na Irenie zatrzymuje długo uporczywe spojrzenie)

PIOTR

A pan tu czego chce!?

STANISŁAW

Powiedzieć prawdę.

IRENA

Milcz!

STANISŁAW

Nie będę milczał —

IRENA

Ja sama powiem wszystko. A teraz wyjdź stąd!

STANISŁAW

(oglądając się wciąż za Ireną, znika za drzwiami)

IRENA

Piotrze... ani słowa teraz... Dam ci znać kiedy... *(kieruje się teraz śpiesznie schodami w głąb mieszkania)*

PIOTR

(pośpieszył za nią) Ireno!... — Ireno!...

IRENA

(odbiegła; słychać trzask zamykających się drzwi)

PIOTR

(zostaje na schodach, wiodących na taras)

ZASŁONA

A K T II.

Ta sama dekoracja, jak w akcie pierwszym.
Pogodny, letni dzień jest już u schyłku.

S C E N A 1.

PIOTR *potem* KLAUDYNA *wreszcie* ZULA

PIOTR

(nerwowo podniecony chodzi po hallu na dole)

KLAUDYNA

(nadchodzi z góry) Mam ci wiele do powiedzenia, Piotrze...

PIOTR

Pani Klaudyno... błagam panią... tylko nie teraz!... Czekam tu na Irenę... Nareszcie może dowiem się prawdy...

KLAUDYNA

W to jedno wątpić ci nie wolno: Irena ciebie kocha. A ty, jeśli ją kochasz, jak kochałeś, to się porozumiecie. Lecz nie będę o tem mówiła, boś rozdrażniony. Może cię to zainteresuje, że twoje obrazy już rozmieszczone. Zula pojechała do miasteczka po zamówione programy. Zmobilizowała wszystkich studentów naszej akademji i urządziła wystawę podług krakowskiego wzoru —

PIOTR

Po co to robicie?...

KLAUDYNA

O, nic darmo!... Zażądam od ciebie wzamian znacznie więcej.

(Sygnał trąbki automobilowej)

KLAUDYNA

Auto Zuli wraca. Jutro raid automobilowy w Zakopanem; Zula bierze udział w raidzie; ale wszystko odłożyła, żeby pomóc przy urządzeniu wystawy.

PIOTR

Nie chcę!... Nie chcę zaciągać długów wdzięczności!

KLAUDYNA

Chcesz, czy nie chcesz, to już się stało.

PIOTR

Lecz niech się na tem skończy!... Nie dam sobie niczego narzucić...

KLAUDYNA

Aleś ty podenerwowany...!... *(zwraca się do wchodzącej Zuli)* I cóż?... Programy są?...

ZULA

(weszła drzwiami z ogrodu; jest w kostjumie szoferskim) Naturalnie! *(prędko zbiegła po schodach, pocałowała Klaudynę i zwraca się do Piotra)* Niech pan zobaczy! *(pokazuje programy)* Czy nie piękniejsze, niż tamte, krakowskie?

PIOTR

Istotnie...!... Ma pani dużo dobrego smaku...

KLAUDYNA

Zula!... Zdaje mi się, że urosłaś po tej pochwale...!...

ZULA

Wyżej tylko uniosłam głowę... Potrafię jeszcze coś więcej, niż pływać, szoferować i grać w tenisa!...

KLAUDYNA

Wydaje mi się, że Irena schodzi z góry... Nie przeszkadzajmy... Do widzenia, Piotrze!

ZULA

Do widzenia! *(odbiega i dogania matkę; razem odchodzą)*

SCENA 2.

PIOTR — IRENA

IRENA

(zeszła ze schodów) Przeszkodziłam w konferencji?

PIOTR

Wcale nie!... Czekałem tu na ciebie. A zabronić nie mogłem, gdy zwracają się do mnie w sprawach, które w tej chwili są dla mnie prawie bez znaczenia.

IRENA

Nawet twoje obrazy?

PIOTR

Może!... Nie wiem...!... — Chciałem z tobą pomówić. To przedewszystkiem!... Zażądałaś kilku dni zwłoki... Zgodziłem się i na to także. A teraz chcę nareszcie dowiedzieć się prawdy — ! —

IRENA

Nie w takim tonie, Piotrze...

PIOTR

...Przepraszam cię...

IRENA

Od trzech lat... w zamian za moją miłość, nie otrzymałam nic więcej, prócz trochę pamięci, objawianej w listach, — a te nadchodziły coraz rzadziej...

PIOTR

Zatem zmieniłaś ton, i oskarżasz... Wolę już to!... Słucham dalej!... Zaczniesz wyliczać moje stosunki z innemi kobietami... A potem podniesiesz zarzut, że mogłem

wcześniej wrócić, albo ciebie wezwać do Paryża. Czy tego nie chcesz zrozumieć, że nie mogłem cię w dalszym ciągu narazić na życie w warunkach, do których nie przywykłaś...

IRENA

Przypomnij sobie, o czem ci donosiłam, gdy z miesiąca na miesiąc, odwlekałeś spotkanie... I przypomnij sobie także twoje odpowiedzi... Tęskniłam za tobą... Żyłam samotna wśród ludzi... Praca nie mogła mi wypełnić życia...

PIOTR

Mogłaś, jak to uczyniłaś w pierwszym roku, nie pytać wiele i przyjechać do mnie!... Ja... wzywać ciebie z tego pałacu na moje poddasze nie mogłem — ! —

IRENA

Nie sam mieszkałeś...

PIOTR

No, tak!... Zbyt wielką miarę przykładasz do tych rzeczy!... Dla mnie to wszystko już nie istnieje...

IRENA

Ileż ja razy w tych trzech latach wybierałam się do ciebie i zawracałam z drogi!... Wiedziałam, że czeka mnie przykra niespodzianka na progu twojej garsoniery...

PIOTR

Aż tak — ! —

IRENA

...Otrzymałam wtedy wiadomość o nowej twojej miłostce... Nie chciałeś się przyznać do tego stosunku... Znowu radziłeś, bym jeszcze nie przyjeżdżała... A minęło już przecie trzy lata, jak ciebie nie widziałam!... Nigdy dotąd nie czułam tego tak boleśnie, że mnie niezasłużenie skrzywdziłeś...

PIOTR

Więc bądź wyrozumiałą i dobrą; taką, jaką zachowałem w pamięci: kochającą, tkliwą, choć tak bardzo dumną,

że ciągle na nowo musiałem cię zdobywać... Te trzy lata twojej samotności wymażę z pamięci pieszczotami, jakich jeszcze nie znasz... Wróciłem do ciebie szczęśliwy i równie kochający, jakim cię pożegnałem ostatniej nocy... czy pamiętasz?... Rozżaloną utulę. Niedowierzającą przekonam. Smutną rozraduję tak, że znowu nauczysz się śmiać serdecznie, całą duszą!... Jedziemy do Paryża. Pokażę ci Paryż, jakiego jeszcze nie widziałaś. Będziemy podróżowali. Grecja... Egipt... potem Ameryka... Wszystko zobaczysz oczami, rozradowanemi szczęściem i miłością.

IRENA

Już zapóźno...!... Zapóźno...!...

PIOTR

??? Więc tyle nagromadziło się tu żalu?... Tak... Żal ten ktoś tu jeszcze w pożar rozdmuchał... Twój brat jest niezadowolony. Mistrz Andrzej czuje się także pokrzywdzony; wyzwoliłem się przecie z pod jego wpływu!... Ale dajmy spokój Andrzejowi. Tylko ty i ja!... Przyjechałem, żeby cię stąd zabrać... Wierną, dobrą, jeszcze droższą i milszą, jeszcze bardziej kochaną... Gdy usłyszałem twój głos, nie uwierzysz, jak zadrżało mi serce... Jakże ja mogłem tak długo nie słyszeć twojego głosu!... Odtąd nie rozstaniemy się już nigdy... Mówiła mi Klaudyna, że wiele pracowałaś. Oglądałem twoje obrazy. Talent twój dojrzał i zmężniał... Będziemy z sobą rywalizowali, by tworzyć rzeczy coraz piękniejsze i doskonalsze... Zaufaj mi także jako artyście, który dużo chce i może...!...

IRENA

Jesteś wielkim artystą, Piotrze...

PIOTR

Cieszy mnie twoje uznanie... Lecz to jeszcze nie to, moja miła... kochana... taka inna, niż wszystkie... taka naprawdę jedyna!... Pójdziemy w szczyty, które nie kończą się nigdy...!

IRENA

Zostaw mnie tu, Piotrze...!... Zostaw mnie!...

PIOTR

??... Co to?... Czyżby aż... niechęć...?... Nic, tylko niechęć?... Z wielkiej miłości już nic nie zostało?... Ireno?... Ireno?!!... Więc tamten błazen... kretyn... który śmiał łudzić się nadzieją... Nie!... To przecie nie może być!... Tu nie mogło się coś takiego stać!... Tu nie stało się nic... Co miał Żarski do wyznania?... Prześladował cię swoją miłością?... Z litości... pozwoliłaś, by się łudził?...

IRENA

Nie to...!... Nie to...!

PIOTR

Więc co?

IRENA

Na przekór sobie... tobie... nam wszystkim... by oddalić się od ciebie już na zawsze... przez litość nad nim... przez szaloną chęć zatracenia się... poszłam do Żarskiego...

PIOTR

Już nie mów... Nie mów już nic — — —

IRENA

Nie chciałam już potem żyć... I byłabym umarła... Ratowała Klaudyna... Nie dała umrzeć... Żyłam... Żyję... Chcę zapomnieć. Już zapomniałam. To już przezwyciężone. Przestało dla mnie istnieć.

PIOTR

Więc to jednak mogło się stać... Więc taką obmyśliłaś zemstę...

IRENA

Nie można zabić takiej miłości, jak moja... I ja nie mogłam jej zabić...!...

PIOTR

I tak dzień po dniu miałaś go tu na oczach i mogłaś ścierpieć to jego spojrzenie, to jego psie spojrzenie... Żyłaś z nim może dalej...

IRENA

Nie!!

PIOTR

Prawdę powiedz... Panuję nad sobą... nie będę brutalny...

IRENA

Nie dręcz mnie!... Czy chcesz wykorzystać prawo, jakie masz nade mną?...!

PIOTR

Prawo mężowskie?... Prawo własności?... Należymy przecie do ludzi kulturalnych... Nie to... Ale jak o tem zapomnieć?... Wiedzieć, że ten Żarski żyje... i zapomnieć?... To niemożliwe...

IRENA

Zostaw mnie, Piotrze!... Nie mogę się bronić... Nie mogę mówić, co czuję w tej chwili... Nie chcę, byś wiedział, jak bardzo cierpiałam i cierpię... Jeśli mnie zostawisz i odejdziesz... na zawsze już... niech to nie obciąży twojego sumienia...

PIOTR

Gdybym dziś odszedł, wiem, że jutro znowu tu powrócę...

IRENA

Czy sądzisz, że będziemy mogli podać sobie ręce, jak dwoje przyjaciół?

PIOTR

Przyjaźń — ? —

IRENA

A cóż innego teraz?...!...

PIOTR

Nie wiem!... W tej chwili mógłbym się tylko zdobyć na jakieś szaleństwo —! —

SCENA 3.

PIOTR — IRENA — ZULA

ZULA

(na tarasie) Czy przeszkadzam?... Chciałam się poinformować co do obrazów...

PIOTR

To mnie w tej chwili nic nie obchodzi!

ZULA

Przepraszam!... *(chce odejść)*

PIOTR

Proszę zaczekać!... Zula!...

ZULA

(zatrzymała się; patrzy zdziwiona i obrażona)

PIOTR

Kiedy wybiera się pani na raid do Zakopanego?

ZULA

Za piętnaście minut.

PIOTR

Jedziemy razem!

ZULA

Naprawdę?!... *(zbiegła prędko ze schodów)* Ireno!... Ależ to doskonale!... Przekonasz się co to za emocja!...

IRENA

Piotr jedzie bezemnie.... z tobą...

ZULA

Jedzie ze mną dwu automobilistów.

PIOTR

Wyrzucę ich z wozu na gościniec, jeśli zabraknie miejsca dla mnie!... Proszę zaczekać!... Za dziesięć minut będę gotowy do drogi! *(odbiegł)*

SCENA 4.

IRENA — ZULA — *potem* KLAUDYNA

ZULA

Czyście się pokłócili?

IRENA

Nie —

ZULA

Zerwaliście?

IRENA

Nie wiem...

ZULA

Nie ścierpiałabym takiej niewyraźnej sytuacji......!....... A może ty wolisz Żarskiego, niż Piotra?

IRENA

Zula! *(pochwyciła jej ręce)* Powiedz... co wiesz...!...

ZULA

Zdawało mi się, że miałaś stosunek z Żarskim... Coś przelotnego... Kaprys kobiecy...

IRENA

(puściła ramię Zuli) Wyznałam Piotrowi wszystko —

ZULA

Jakaś ty niemądra!... Wybacz, Irka...!... Ale takich rzeczy nowoczesna kobieta nie opowiada mężczyźnie nawet wtedy, gdy go już nie kocha!...

KLAUDYNA

(wchodzi i zwraca się do Zuli) Jużem ci wszystko przygotowała do drogi.

ZULA

Klaudyno!... Najlepsza z matek i najukochańsza! *(całuje ją)* Pożegnajmy się! Za pięć minut jadę!... Nic się nie trwóż... Z każdego postoju, gdzie tylko uzyskać zdołam połączenie, zatelefonuję do ciebie!... A teraz mnie puszczaj... Muszę jeszcze na chwilę zajrzeć do obrazów Piotra, bo tam w pawilonie sztuki czekają na mnie uczniowie!...

KLAUDYNA

Jeszcze raz mnie pocałuj!... Zuch z ciebie!...

ZULA

I z ciebie zuch, matka!... Nauczyłaś się nareszcie traktować mnie nie gorzej, niż traktuje się synów!... Do widzenia, Irka! *(wybiegła)*

SCENA 5.

IRENA — KLAUDYNA potem — ANDRZEJ

KLAUDYNA

Cóż się stało?... Piotr wybiegł stąd, jak oparzony... Ty zaś przypominasz wyrazem twarzy Marję z obrazu Andrea'i del Sarto „Opłakiwanie"... No, wiesz!... Tak się nie postępuje!...

IRENA

Nie mów o tem ze mną Klaudyno...

KLAUDYNA

??.. O, to niedobrze!... Nie chcesz mu przebaczyć jego miłostek.... Przecie to artysta!... Kobiety same mu się narzucają!... Jestem o tem przekonana...!...

IRENA

Nie dręcz mnie, Klaudyno!...

KLAUDYNA

Już ci dam spokój!... Niech Piotr sam się broni!... Wszyscy go tu kochają!... Przecie nasi uczniowie potracili głowy, odkąd Piotra zobaczyli. A teraz... z jaką admiracją stoją tam w pawilonie, przed jego obrazami!...

IRENA

Tak... Z obrazów Piotra bije potęga czegoś naprawdę nowego i wielkiego —

KLAUDYNA

Nasi uczniowie zachwyceni. Więc coś przecie jest w tej nowej sztuce, co młodych bierze!... A ja z Andrzejem, w starej sztuce rozmiłowani, pojąć tego zachwytu nie możemy —

(Trąbka automobilowa)

KLAUDYNA

(śpieszy po schodach na taras i staje przy otwartych drzwiach do ogrodu) Zula już wyjeżdża... — *(powiewa chusteczką)* Do widzenia!... Co to?... Trzech mężczyzn z nią jedzie?... Któż ten trzeci?... Nie poznaję zdaleka; przytem zarys sylwety niewyraźnie tylko widzę. Chodź-no Irka... i zobacz!...

IRENA

(nie rusza się z fotelu) To Piotr.

KLAUDYNA

(żywo poruszona) Jakto? *(schodzi na dół)* Zgodziłaś się na to, żeby pojechał teraz z Zulą?... Nie trzeba mężczyznom dawać sposobności do zdradzania nas... Mój Andrzej, to najzacniejszy człowiek i kocha mnie, a przytem, choć piękny jeszcze, ale już niemłody przecie; jednak, gdyby coś się trafiło, nie byłby od tego!... *(do wchodzącego Andrzeja)* Powiedziałam Irenie, że mężczyzna, gdy mu się sposobność zdarzy, zdradzi żonę z inną kobietą, i że zrobiłbyś to ty nawet!...

ANDRZEJ

Nigdy nie zdradziłbym cię dla innej kobiety. Lecz potrafiłbym odejść od ciebie z chwilą, gdybym to odczuł, że ci już niewiele dać mogę, i że te wszystkie blaski życia, które czynią cię taką jasną i pogodną, zgasły z mojej winy —

KLAUDYNA

Nie zgasną! Zobaczysz, Andrzeju!....

(Odzywa się pukanie do drzwi)

ANDRZEJ

Proszę wejść.

SCENA 6.

ANDRZEJ — KLAUDYNA — IRENA — UCZNIOWIE

ANDRZEJ

Z czem przychodzicie panowie tak oficjalnie? *(podaje im rękę)*

UCZEŃ I

Jesteśmy w deputacji —

UCZEŃ II

Wydelegowani przez gremjum uczniowskie po uchwale, jaka zapadła. Chcemy pod kierunkiem mistrza Piotra po-

dążyć z prądem nowej sztuki. Widzieliśmy jego obrazy i jesteśmy pod silnem wrażeniem. Nigdy tych obrazów nie zapomniemy.

UCZEŃ I

Prosimy, aby mistrz Piotr został naszym profesorem.

ANDRZEJ

Przyszliście zatem z gotową już uchwałą, aby mi narzucić... jakiego mam przyjąć profesora!... Nie zapytaliście wpierw o moje zdanie —! —

UCZEŃ I

Uczyliście nas, mistrzu Andrzeju, że szkoły są nie dla profesorów, lecz dla uczniów —

UCZEŃ II

Że zawsze możemy wyjawić naszą wolę —

ANDRZEJ

Owszem...!... Tak...!... I ja tę waszą wolę, wyrażoną w uchwale „gremjum uczniowskiego“, wezmę pod rozwagę. — Żegnam was, panowie!

(Uczniowie się kłaniają, trochę zbici z tropu, zwłaszcza, że Andrzej nie podał im ręki, a oni na to czekali. Odchodzą ze zwieszonemi głowami)

SCENA 7.

IRENA — ANDRZEJ — KLAUDYNA

ANDRZEJ

Ireno!... Czy to ty wpłynęłaś na tę uchwałę „gremjum uczniowskiego“?

IRENA

Nie!

ANDRZEJ

A ty, Klaudyno?

KLAUDYNA

Ja?... A gdzież-bym ja coś postanowiła bez poradzenia się z tobą!?...

ANDRZEJ

(nerwowo przechadzał się po hallu; po chwili przystanął) Klaudyno... Co mi się stało?... Nie jestem już sobą... Wypowiedziałem słowa, których żadną miarą nie wolno mi było wypowiedzieć.... A potem znosiłem to, że moi uczniowie ciskali mi w twarz moje własne maksymy, abym poznał, żem człowiek niesprawiedliwy.

KLAUDYNA

Andrzeju!... Ty? Najlepszy z ludzi!...

ANDRZEJ

!... Nadeszła chwila, w której stoję przed tobą upokorzony!.... Nie zaprzeczaj!... Upokorzenie to czujesz tak samo, jak ja!...

KLAUDYNA

Cóż znowu!... Przyzwyczajonyś do tego, że twoi uczniowie zwracają się do ciebie zawsze impulsywnie... a oni teraz... biedaki... nałożyli śmieszne, czarne ubranie i strasznie oficjalnie zaczęli przemawiać... Od tej chwili szło już crescendo!... Po prostu: zdenerwowałeś się, i nie mogło być inaczej!...

ANDRZEJ

Nie!... Nie jestem już tym, którego autorytet coś znaczył!... I cóż, że moje obrazy zakupywano niegdyś do muzeów w kraju i zagranicą!... Że wykształciłem tylu uczniów, których imiona są dziś głośne!... W muzeach moje nazwisko, a nie wśród żywych!... Zapomniano o mnie!... I któż się ze mną teraz liczy?... Jakiś redaktor Giżycki ma prawo szydzić z naszej akademji!... Nie przyszedł na twoje zaproszenie...

IRENA

(spojrzała z wymówką na Klaudynę — reaguje wogóle mimiką podczas tej rozmowy)

ANDRZEJ

...Nie widział tej instytucji, a napisał dziś w swojej gazecie... *(cisnął na stół złożoną gazetę, którą wyjął z kieszeni)* jakbym był starym durniem, który dla zadowolenia chorobliwej ambicji, stworzył tę wolną akademję!...... Teraz przychodzą moi uczniowie i narzucają mi tu Piotra!... I ty również chciałaś, żeby Piotr objął tutaj kierownictwo...

IRENA

(czyta porzuconą przez Andrzeja gazetę; ów artykuł)

KLAUDYNA

Wspólnie z tobą!

ANDRZEJ

A on wzgardził!

KLAUDYNA

Andrzeju!... Przecie ja z nim jeszcze o tem nie mówiłam!... Czekałam, aż dasz na to swoje przyzwolenie.

ANDRZEJ

Ale ja usiłowałem go wybadać, co sądzi o naszej akademji. Długo milczał, wreszcie powiedział, że jeśli jakiekolwiek nasze złudzenia są nam potrzebne do życia, nie należy do nich odnosić się krytycznie, bo: niszcząc je, niszczymy siebie... Zatem dla kogo pracowaliśmy, Klaudyno?...! Czyż-by istotnie dla zadowolenia chorobliwej ambicji?...

KLAUDYNA

Nie spodziewałam się tego po Piotrze!

ANDRZEJ

A to jego postępowanie z Ireną!... Powiedziałem, że lepiej tak będzie, by się rozeszli... Przyjechał, myślałem: a może pojednają się, lub rozejdą nareszcie!... Widziałaś!... On i teraz ją zadręcza!... Po rozmowie, która miała być rozstrzygająca, zostawił Irenę, i pojechał z Zulą do Zakopanego.

IRENA

To moja sprawa, Andrzeju! *(odłożyła gazetę)*

ANDRZEJ

Twoja sprawa. Lecz, czy ja mogę mieć zaufanie do niego? Czy mogłem spokojnie słuchać, gdy te młokosy ze śmiesznie uroczystą miną mówili o nim, jak o arcykapłanie nowej sztuki?!

IRENA

Piotr jest wielkim artystą.

ANDRZEJ

Ale jakim jest człowiekiem?!

IRENA

(zerwała się z fotelu) Nie mów tak Andrzeju!... Żaden człowiek nie ma prawa potępić drugiego człowieka! *(odchodzi)*

SCENA 8.

ANDRZEJ — KLAUDYNA — *potem* STANISŁAW

(Chwila milczenia)

ANDRZEJ

... Czy rozumiesz teraz Klaudyno, moją urazę do Piotra?... Ale z ciebie niepoprawna optymistka!... Wierzysz jeszcze w to, że Piotr kocha Irenę... Czekałaś niecierpliwie jego przyjazdu... Witałaś, jak zbawcę... Teraz jest gorzej, niż mogłem przypuścić... — Po co przyjechał?... Czego chce?...

KLAUDYNA

Jeśli nie ufasz Piotrowi, postąpisz jak uważasz za stosowne.

ANDRZEJ

Akademja ta, twoją jest fundacją. Chcesz tu mieć Piotra... godzę się na to. Lecz gdy zmienić chcecie kierunek... i to tak radykalnie... odejdę ja. Może istotnie już w pomyśle moim instytucja ta chybiła celu... To się zdarza. Nie udało się...!... Moja pomyłka, moje niedołęstwo, i moje teraz upokorzenie!...

KLAUDYNA

Mnie chcesz upokorzyć, Andrzeju!... Gdy bezemnie odejdziesz, będę w oczach ludzi porzuconą i wzgardzoną żoną!...

ANDRZEJ

A ja, jeśli tu zostanę, może nadejść dzień, kiedy powiedzą: Oto człowiek, który już przeminął.

STANISŁAW

(wszedł już przed chwilą i zatrzymał się na tarasie. Sylwetka jego w zmroku odcina się niewyraźnie od tła, które tworzą kolumny; teraz mówi) Nie przeminie mistrzu Andrzeju twoja sława... Uczyłeś nas, że co wielkie i piękne, wieki przetrwa... *(zostaje na tarasie)*

KLAUDYNA

Otóż słyszałeś, Andrzeju!

ANDRZEJ

Klaudyno... wiesz, że Stanisław *(ciszej)* chory. ...Nie, moja droga!... Postanowione!... Wyjeżdżam! ...Będziemy musieli się rozstać... Na jak długo, nie wiem...

KLAUDYNA

Andrzeju... weź mnie z sobą, gdy chcesz odejść. Moje szczęście i moja chwała, to ty, Andrzeju! Ten pałacyk w całości oddamy młodzieży. I niech już Irena urządzi tę akademję według swoich planów, o których już tyle się mówiło...

ANDRZEJ

Irena!... Tak...!...

KLAUDYNA

Andrzeju!... Czy także wobec własnej siostry stałeś się podejrzliwy?...

ANDRZEJ

Dziś dopiero zauważyłem w Irenie coś, co mi jest obce... Tak... I to jest najsmutniejsze w tem wszystkiem... — A może dzień jutrzejszy ma dla mnie niejedną jeszcze niespodziankę...

(Ciemnię za oknami rozjaśniła nagle łuna pożaru)

KLAUDYNA

Na miłość boską!... Co to?...

STANISŁAW

Ten ich mistrz Piotr spali się.

ANDRZEJ

(do Stanisława) Coś uczynił!?... Klaudyno, zrób światło! Niech spojrzę mu w twarz!...

KLAUDYNA

(odkręciła kontakt światła)

STANISŁAW

Nie tyle światła!... *(zakręcił kontakt tak, że płonie jedna tylko żarówka)*

ANDRZEJ

(do Stanisława) Mów zaraz coś uczynił!

STANISŁAW

Pawilon sztuki się pali...

KLAUDYNA

Boże miłosierny! Obrazy Piotra!... Andrzeju!...

ANDRZEJ

(wybiegł)

SCENA 9.

KLAUDYNA — STANISŁAW — UCZNIOWIE

(W tej chwili, w głębi, na tarasie, drzwi otwierają się z hałasem i kilku uczniów akademji, z podwiniętemi u koszuli rękawami, osmoleni, w wielkim ferworze, składa na tarasie uratowane z pożaru obrazy. Gdy jedni odbiegają, by znowu przynieść obrazy, już inni przybiegają z obrazami uratowanemi; panuje w głębi ruch wielki)

KLAUDYNA

Ratujcie, moi drodzy...

UCZEŃ I

Obrazy mistrza Piotra wszystkie ocalone!

UCZEŃ II

Pierwsi my spostrzegli pożar i rzuciliśmy się w ogień, żeby ratować obrazy mistrza Piotra.

UCZEŃ I

I ocalały!...

KLAUDYNA

Puśćcie i mnie tam... *(chce się przecisnąć przez ciżbę uczniów i stosy obrazów)*

(Odzywa się pobudka straży ogniowej)

UCZEŃ I

Już straż ogniowa przyjechała i nie wpuści tam nikogo.

(Uczniowie wybiegają do ogrodu)

SCENA 10.

ANDRZEJ — IRENA — KLAUDYNA — STANISŁAW

ANDRZEJ

(wraca osmolony, podtrzymując omdlałą Irenę, na której suknia tu i ówdzie rozdarta; włosy ma rozwichrzone) Klaudyno!... Wody!... Zemdlała!... Przemocą trzeba ją było wyciągnąć stamtąd.

STANISŁAW

Klęczała przed jego obrazami...!...

(Andrzej i Klaudyna zajęci Ireną)

IRENA

(otwiera oczy i patrzy na Andrzeja i Klaudynę)

KLAUDYNA

Iruś?... Boli?...

IRENA

(dostrzegła Stanisława) On podpalił!!

KLAUDYNA

Ty, Stachu?...!

STANISŁAW

Miałem prawo się mścić. Irena była moją! Dobrowolnie przyszła do mojej izdebki!... Mnie wybrała!... A potem kopnęła, jak parszywego psa!... Dla czego!...?... Dla czego?... Jestem człowiek!... Nie wolno poniewierać człowieka!... Dla czego ona mnie sponiewierała? Dla czego?... Dla czego?!...

ANDRZEJ

Ireno!... Czy to mogło się stać!...?...

IRENA

Tak!...

ANDRZEJ

Słyszysz, Klaudyno?!... Wydaliłem z naszej akademji flirtujące uczenice, a siostra moja urządziła tu sobie...

IRENA

Zamilcz!!

KLAUDYNA

Andrzeju! Na miłość boską!

ANDRZEJ

Zabiorę cię stąd, Klaudyno!... Nie zostawię tutaj!...

Ani jednego dnia dłużej pod tym dachem!... *(do Stanisława)* A ty!! *(podniósł ręce, jakby go chciał wypoliczkować)*

IRENA

I to jeszcze!

KLAUDYNA

Okropność —

STANISŁAW

Zabij mnie, mistrzu Andrzeju... *(podaje mu rewolwer)*

ANDRZEJ

(cofa się) Chore szczenię, które przygarnąłem... Nie!... Nie zabiję!...

STANISŁAW

Zabijcie mnie!

ANDRZEJ

Chodźmy stąd, Klaudyno!

STANISŁAW

(wycelował broń w serce; pada strzał; on okręca się w kółko; instynktownie szuka podpory i opada na fotel)

KLAUDYNA

Jezus Marja! *(przybiegła do Stanisława)*

IRENA

Tak wygląda samosąd —

KLAUDYNA

Andrzeju!... Zobacz!... Może jeszcze żyje...?...

ANDRZEJ

(nachylił się nad Stanisławem) Już skończył —

KLAUDYNA

(przymyka Stanisławowi oczy)

STRAŻAK

(wchodzi) ...Pożar ugaszono —! —

ZASŁONA

AKT III.

Ta sama dekoracja, jak w akcie pierwszym i drugim. Do ścian przyparte stoją w hallu obrazy Piotra, uratowane podczas pożaru pawilonu sztuki

SCENA 1.

PIOTR — ZULA

PIOTR

(stoi przy schodach, jedną nogę oparł na stopniach; niecierpliwi się)

ZULA

(siedzi w hallu; rękami oplotła poręcz krzesła, brodę oparła na dłoniach)

(Oboje nie zdjęli płaszczy, ani czapek szoferskich)

PIOTR

Więc po to pędziliśmy tu z powrotem, biorąc rekord stu dwudziestu kilometrów na godzinę, by czekać teraz pokornie, aż ktoś raczy się zjawić!?...

ZULA

Proszę mówić ciszej... Czy chce pan cały dom pobudzić?... Przypominam też, że trup niepochowany leży w tym domu.

PIOTR

Wiem!... Ale jak długo będziemy tutaj tkwili?

ZULA

Nie śmiem ich budzić —

PIOTR

Wstają nad ranem... o ile zdołałem stwierdzić — Pierwsza wstaje Klaudyna...

ZULA

Biedna Klaudyna!... Nie mogę zapomnieć, jak przeraźliwie zabrzmiał jej głos, gdy telefonowała do mnie: „Niech Piotr natychmiast wraca... Nieszczęście...!"... *(zbliżyła się do obrazów, zaczyna je oglądać)*

PIOTR

Przepowiedziałem to, że lada dzień Żarski dostanie ataku szału!...

ZULA

...Tylko niektóre zostały uszkodzone...

PIOTR

Widziałem!... Te, na których mi istotnie zależało, wyszły bez szwanku.

ZULA

Są ubezpieczone od wypadku, przypuszczam?...

PIOTR

Tak.

ZULA

Gdyby pan nie był się uparł jechać ze mną do Zakopanego, może nie byłoby przyszło do katastrofy.

PIOTR

Czy sądzi pani, że dałoby się temu zapobiec?... Uciekł!... Nie było go przez kilka dni!...

ZULA

Uważam, że niepotrzebnie tyle mówi pan o Żarskim. Już dosyć słyszałam przedtem!...

PIOTR

Ma pani słuszność... Raczej zrobić to, co odrazu należało uczynić. Podziękować, że wróciła tu pani ze mną, zo-

stawiwszy wspaniały raid w Zakopanem. Okazało się, że jest pani dzielnym sprzymierzeńcem!... Czy wolno mi koleżeństwo nasze przypieczętować? *(całując ją)* Czynię to dopiero pod czcigodną kopułą tego starego zamczyska!...

ZULA

(bez kokieterji, szorstko) Jak na koleżeński pocałunek, za mocny.

PIOTR

Więc zna się pani na tem?...

ZULA

Także pytanie!... Jak mnie pan sobie wyobraża?... Czy tak mało jestem ponętna, aby mnie żaden mężczyzna przed panem nie pocałował?... Oto poglądy niewspółczesnego mężczyzny!... No, proszę!... Tak pomyśleć o mnie!...

PIOTR

Przepraszam! *(uśmiecha się z wesołą ironją)*

ZULA

No, tak!... Myśli pan staremi kategorjami; używa pan wyrazów, jak człowiek wczorajszy!... Dziwi się pan, że jest kobieta, która nie leci na tę piękną męskość pana!... Owszem, bardzo mi się pan podoba; lecz przekonał się pan, że mogę przejechać 300 kilometrów i to nocną porą, z trzema mężczyznami... Wracać, ledwo świt, tylko z panem... No?... I obeszło się bez tego wszystkiego, o czem w takich wypadkach myślą ludzie wczorajsi!

PIOTR

Oczywiście!...

ZULA

Jeśli zaś, przebywając w mojem towarzystwie aż tyle godzin, nie zrzucił pan jeszcze z siebie skóry starodawnego mężczyzny, to doprawdy nie moja w tem wina!... Jesteście na ogół mniej pojętni od kobiet!...

PIOTR

Biedni mężczyźni!... — Ale... co do mojej osoby... mam pewne zastrzeżenia.

ZULA

Ja także mam nadzieję, że Irena nie będzie już miała tyle trudności z panem.

PIOTR

Czy próbowała pani pracować nad wychowaniem Ireny?...

ZULA

Ma się rozumieć!... Ale udawało mi się to tylko w części!... Ciężko jest walczyć z tradycją!...

PIOTR

Wszakże i pani miała tradycje...

ZULA

Ale mnie nie wychowali rodzice, lecz: sporty, koledzy, koleżanki... pisarze naprawdę współcześni... no... i mój zmysł obserwacyjny!

PIOTR

A z mistrzem Andrzejem jak się pani udało?

ZULA

Milczy dyplomatycznie. Wiem, że niejedno mu się u mnie nie podoba. Odwzajemniam się również podczas takich okazyj tolerancyjnem milczeniem. Pozatem bardzo go lubię. Jest dla mnie dobry, grzeczny i miły. Matka moja przy nim czuje się szczęśliwa. Nie widzi tego, że jest egoistą, jak każdy mężczyzna! — Co prawda, pierwsze jej małżeństwo z moim ojcem... Lepiej o tem nie wspominać...!... Mój ojciec to był stary śledziennik. Zatruwał życie sobie i drugim! O, z rodzonym ojcem postępowałabym inaczej! Rodzonemu ojcu musi się od czasu do czasu powiedzieć impertynencję! Okazji nie zabraknie. Ale takiemu ojczymowi, jak mistrz Andrzej?... Przenigdy!

SCENA 2.

PIOTR — ANDRZEJ — ZULA *potem* KLAUDYNA

ANDRZEJ

(wchodzi) ...?...!...Kiedy wróciliście...?...

ZULA

Przed godziną... *(podaje mu rękę na powitanie)* Nie chcieliśmy was budzić.

PIOTR

(ściska mu rękę) Uratowaliście moje obrazy...

ANDRZEJ

Tak... Nie jestem zachwycony temi obrazami... Ale są to w każdym razie dzieła niepospolitego talentu.

PIOTR

Przynajmniej tyle mi przyznajesz!

ANDRZEJ

Talent, to dopiero *conditio sine qua non*. Pytanie, co się z talentem robi.

PIOTR

Zapewne!...

ZULA

Czy mogę się zobaczyć z matką?

ANDRZEJ

Zaraz tu przyjdzie. Nie kładła się spać tej nocy... — Droga nasza Klaudyna...!... Imię jej wymówić nam trzeba tak, jakbyśmy szeptali „*Ave Maria*".

KLAUDYNA

(wchodzi z tarasy)

ZULA

(śpieszy ją powitać)

PIOTR

(serdecznie całuje Klaudynę w obie ręce)

KLAUDYNA

(tulącą się do niej Zulę przyciska do serca)

ZULA

Nie płacz, mamo!...

KLAUDYNA

Teraz dopiero folguję sobie. *(opanowała się prędko, odsunęła Zulę, patrzy na nią)* Byłabym wolała, żebyś została w Zakopanem. Tylko Piotr był tu potrzebny, i po niego telefonowałam. Tobie powinnabym właściwie nagadać co wlezie za to, żeś Piotra zabrała wczoraj do Zakopanego... Ale nie mam sił... Zawiele naraz zwaliło się na mnie... — Jutro pogrzeb Stacha... Musisz mu przebaczyć Piotrze!...

PIOTR

Moje przebaczenie umarłemu niepotrzebne... — Całą moją niechęć, jaką od pierwszej zaraz chwili, intuicyjnie, odczułem do Żarskiego, teraz jakby ktoś wymiótł mi z duszy. Bez reszty prawie wymazany z mojej pamięci, odkąd się dowiedziałem, że już nie żyje. Wdzięczny mu też jestem za to, że się sam zastrzelił. — Wydaję się wam może okrutny?... Ale nie sądź mnie surowo, Andrzeju!...

ANDRZEJ

Inaczej, niż wczoraj, musiałbym cię dziś sądzić, Piotrze, gdybym jeszcze w to wierzył, że mam do tego prawo. Tak... „Człowiek nie ma prawa potępić drugiego człowieka”... — Miniona noc nauczyła nas wielu rzeczy... Widocznie trzeba było aż takich płomiennych znaków...

PIOTR

Jak Irena przyjęła to wszystko?...

ANDRZEJ

Zobaczysz sam. Winienem ci jednak powiedzieć, że była u mnie wczoraj deputacja uczniów akademji. Pragną, byś został ich profesorem...

PIOTR

Wykluczone!...

ANDRZEJ

...Zresztą, objaśni cię w tej sprawie Irena. Ja ustępuję. Wyjeżdżam z Klaudyną. Jakie skłaniają mnie do tego powody, o tem nie będziemy tutaj dyskutowali.

PIOTR

Dawniej uważałeś, że mogę być powiernikiem twoich planów i zamierzeń.

ANDRZEJ

Dawniej sądziłem, że rozumiemy się wzajem... Ale upłynęło zaledwie lat kilka, i nie do przebycia przepaść oddzieliła nas starych, od was, młodych. Jeśli zaś jest tak, że nie nadaję się do kierowania tą instytucją... a i ty dałeś mi to do poznania, mówiąc ze mną o sztuce dnia dzisiejszego... jeżeli wam młodym się zdaje, że sztuka ma być aktualną, gdy ja uważałem zawsze, że sztuka powinna nawiązać do tego, co wieczne... nieprzemijające... w takim razie cóż tutaj po mnie?...

PIOTR

Czy sądzisz, że jakieś nagłe zmiany dadzą się tu przeprowadzić bez gwałtownego wstrząsu?... Irena sama nie poradzi temu.

ANDRZEJ

Znajdzie doradców —

PIOTR

Przepraszam cię za moją niedyskrecję. ...Czy ta decyzja twoja, Andrzeju, nie jest po części wynikiem artykułu redaktora Giżyckiego?... Czytałem ten artykuł. Jest to niesmaczny paszkwil... A Giżycki wie jakie stosunki łączą mnie z tobą!

ANDRZEJ

(przechadzał się po hallu, teraz przystanął w pobliżu drzwi na prawo) Za pozwoleniem!... Ten pan powinien był przedewszystkiem liczyć się ze mną!... Klaudyna radziła odpowiedzieć publicznie na tę zaczepkę. Ale nie będę wszczynał w prasie tak modnej dzisiaj polemiki; nie nadaję się do tego. Usuwam się, bo innych potrzeba teraz ludzi, innych artystów, innych pedagogów!... — Sądzę też: zrobiłem tyle, że wolno mi już powiedzieć: Dosyć! *(odchodzi)*

SCENA 3.

KLAUDYNA — PIOTR — ZULA *potem* IRENA

ZULA

Jadę z wami...

KLAUDYNA

Potrzebna nam będziesz w tej podróży, a mamy zamiar długo podróżować i różne zwiedzać kraje. Lubisz podróże. Inaczej... zawahałabym się może i nie wymagała, byś jechała z nami. — Słuchaj Piotrze... jeśliś do nas wrócił, byłoby jednak najlepiej, gdybyś tutaj został z Ireną.

PIOTR

Zabieram Irenę do Paryża!...

IRENA

(nadchodzi z tarasy)

ZULA

(biegnie na schody i całuje ją)

IRENA

(w milczeniu ściska jej rękę)

PIOTR

Cóż to znaczy, żeś osłoniła czoło i głowę?

KLAUDYNA

Ratowała z ognia twoje obrazy i osmaliła włosy, a czoło ma poparzone.

PIOTR

Więc z narażeniem życia!?...

IRENA

Puść mnie... usiądę...

KLAUDYNA

Ireno... Piotr chce cię stąd zabrać do Paryża.

IRENA

Zostaję tutaj, Klaudyno.

KLAUDYNA

Jeśli nie sądzisz, że miejsce twoje przy Piotrze, jak moje przy Andrzeju...

IRENA

Andrzej ciebie potrzebuje; i dobrze uczynisz, gdy wytrwasz przy nim. Ja Piotrowi nie jestem potrzebna.

ZULA

(do Piotra) Niech pan jak najenergiczniej zaprzeczy! A to w tym sensie, jak było mnie zawierzone!...

PIOTR

(do Ireny) Słyszałaś!...

IRENA

Nie jadę z tobą. Tutaj mój warsztat pracy.

KLAUDYNA

Dziękuję ci Ireno za to przywiązanie do naszej akademji... To moje i Andrzeja dziecko. A opuszczamy je. Więc ty się niem zajmij. Wierzę w to, że uda ci się pozyskać także Piotra dla tej instytucji. Nie przekonałabym go, jak nie przekonał Andrzej, więc nie próbuję namawiać... Ale dla kobiety, którą się kocha, mężczyzna poniesie największą ofiarę!... *(odchodzi z Zulą)*

SCENA 4.

IRENA — PIOTR

PIOTR

Ireno... to, co mogło było rozdzielić nas na zawsze, to widmo już straszyć nie będzie mnie, ani ciebie.

IRENA

Sądzisz?...

PIOTR

Widzę cię znowu z wysoko podniesioną głową. Żadnej już łezki w głosie. Wyzwolonaś!... Czujesz to wyzwolenie, nieprawdaż?...

IRENA

Nie przeczę... Rada też jestem, żeś raz jeszcze wrócił i mówisz o tem, że chcesz mnie z sobą zabrać...

PIOTR

A więc pojedziesz ze mną!... Moje nazwisko stało się sławne. Jestem też w stanie urządzić sobie w Paryżu dom, w którym będziesz się czuła dobrze. Mam stosunki w prasie, w dyplomacji, wśród wpływowej finansjery i arystokracji...

IRENA

Wcale mnie to nie nęci.

PIOTR

Zapewne! Ale chcę, byś wiedziała, co zyskasz, gdy zamieszkasz ze mną. Tutaj zaś czekają cię kłopoty, troski, intrygi!... Spotkasz się z zawiścią i złą wolą, a wkońcu przekonałabyś się, że najlepsze twoje zamiary zostały wypaczone!... Wzięłabyś na siebie zbyt wielką odpowiedzialność, gdybyś tu została!

IRENA

Mam przygotowane plany i obiecaną pomoc. —

PIOTR

Tutaj jest ktoś taki? — !? —

IRENA

Są to ludzie, niezwiązani wcale z tą instytucją. Pozostaję z nimi w stałej korespondencji. Nie znam ich osobiście. Obiecali, że zjawią się, gdy ich zawezwę.

PIOTR

Mogłabyś się fatalnie oszukać!...

IRENA

Nie znasz tych ludzi, a już osądziłeś.

PIOTR

Obejdzie się bez tej waszej wolnej akademji!

IRENA

Instytucja ta jest potrzebna. Idzie tylko o racjonalną jej rozbudowę.

PIOTR

Chciałabyś tego dokonać?!...

IRENA

Powiedziałam ci już, że mam przyobiecaną pomoc.

PIOTR

I sądziłaś, że ja niepotrzebny ci już jestem!

IRENA

To zupełnie co innego. Gdybyś jednak chciał objąć kierownictwo tej instytucji, byłabym ci za to wdzięczna.

PIOTR

Chcesz koniecznie przygwoździć mnie tutaj!... Ależ ja stworzyłem sobie warunki w Paryżu!... Stamtąd rozeszła się po świecie moja sława... Gdybym został tu w kraju, spowszednieję, zszarzeję dla tych ludzi, którzy mnie dziś

obsypują uznaniem!... Wiem, gdy będę tu komuś niewygodny, to mnie rozdzióbią!... Nie, moja droga!... Wolę wrócić do Paryża! A więc decyduj się!... A może już nic nie znaczę dla ciebie!?... Od chwili powitania, nie usłyszałem od ciebie jednego serdecznego słowa!

IRENA

Trzy lata żyłam samotnie, Piotrze... Czy ty pojmujesz, co dla kobiety w moim wieku znaczy takie życie, jakie ja tu prowadziłam?... Przy tobie poznałam tę wielką miłość. Kochałam cię tak, że było to prawie bałwochwalstwem. Chciałam potem pamiętać tylko, co było dobre i piękne w naszym stosunku; ale ciągle wracało to pytanie: czemże ja dla ciebie jestem, że nawet nie chcesz, abym przyjechała! Powtarzać to dzień po dniu, trzy lata, i nie oszaleć!... Męczyć się tak i odrabiać codzienną pracę!... Czy mogłam witać ciebie za powrotem, jakby wymazane zostało z pamięci to wszystko?... Wróciłeś — i zrozumiałam, że powinnam ci dać dowody na to, że człowiek ze mnie równy tobie. Człowiek inicjatywy i twórczej pracy. I wolna, jak ty!

PIOTR

Ireno!... Cóż jeszcze mam uczynić?!...

IRENA

Chcesz mnie zabrać do Paryża, jak swoją własność. Odwykłam już od takiej... przynależności.

PIOTR

Nie kochasz!

IRENA

Tak przypuszczasz...?! O, gdybym mogła kochać cię mniej, niż kocham!...

PIOTR

Jak długo chcesz tu zostać? Pół roku?... — Jeszcze dłużej?!!

IRENA

Dopóty będę tu potrzebna. Odejdę i poszukam sobie innego warsztatu pracy, gdy się przekonam, że tutaj zastąpi mnie ktoś lepiej ode mnie.

PIOTR

Kobiecy upór!

IRENA

Nie, Piotrze! To taka „męzka“ stanowczość, na którą i kobieta może się zdobyć!... Czekam teraz na to, abym mogła uwierzyć, żeś mój przyjaciel prawdziwy. Istotą przyjaźni jest zdolność do ofiary...

PIOTR

Koniecznie ma być ofiara! Nie!... Nie!... Nie!!! *(po chwili)* Odchodzę, Ireno! *(na tarasie zatrzymuje się i woła)* Odchodzę! *(odbiegł)*

IRENA

(patrzy za Piotrem długo; dłonie mocno oparła na krawędzi stołu i tak stoi nieporuszona; wreszcie opamiętała się; usunęła z oczu natrętne łzy, potem dłońmi ścisnęła czoło i czeka aż wzruszenie minie)

SCENA 5.

IRENA — ANDRZEJ — *potem* PIOTR

ANDRZEJ

(wchodzi drzwiami dolnemi, a zobaczywszy Irenę, chce się cofnąć)

IRENA

Andrzeju!...?... Nie chciałbyś ze mną pomówić?... Unikasz mnie... Czy chcesz odjechać bez pożegnania?

ANDRZEJ

Miałem ci napisać list. *(rozmawiając z Ireną, unika jej spojrzenia)*

IRENA

A czy nie możesz mi tego powiedzieć, co napisać chciałeś?

ANDRZEJ

Tamto łatwiej by mi przyszło. *(grzecznie wskazał jej krzesło i sam usiadł)*

IRENA

Jeśliś osądził, że jednak należy mi napisać, to i pojąłeś, że zasługuję jeszcze na twoje przywiązanie.

ANDRZEJ

Tak powiedziała Klaudyna.

IRENA

Klaudyna mnie zrozumiała. Kobieta zrozumiała drugą kobietę... Tu nie było grzechu, ani winy. Niema też we mnie skruchy. Był tylko... wstyd!... I gniew...!...

ANDRZEJ

Tamten powinien był milczeć... To jest obowiązkiem mężczyzny... — Ale Stanisław nie mógł odpowiadać za swoje słowa i czyny... — Byłaś nieszczęśliwa... Jeszcze bardziej nieszczęśliwa, samotna i udręczona, niż mogliśmy z Klaudyną przypuścić.

IRENA

Bracie... gdyś to zrozumiał, nie potępisz już nigdy żadnej kobiety.

ANDRZEJ

Widzę, że nie znam kobiet i nie znałem także ciebie. Żyliśmy z sobą pod jednym dachem lat tyle, zdawało się... bliscy duchowo, a byliśmy sobie dalecy... Nie my jedni tak... *(po chwili)* A jakże z Piotrem?... *(podniósł pochyloną dotąd głowę i spojrzał jej smutnemi oczami w twarz)*

IRENA

Chce mnie z sobą zabrać do Paryża —

ANDRZEJ

A ty?...

IRENA

Oświadczyłam mu, że zostaję tutaj —

ANDRZEJ

Nie objąłby kierownictwa akademji...?...

PIOTR

(schodzi po schodach tarasy) Owszem!... „Obejmie!” I, jak widzicie, rozgościłem się już w tym domu... *(ruch rąk wzdłuż domowego swego ubrania)* Skoro Irena z takim uporem obstaje przy tem, żeby zostać tutaj, nie mam zamiaru ruszyć się stąd. Na razie oczywiście, dopóki Irena nie zmieni swego postanowienia.

ANDRZEJ

(wstał z miejsca, gdy wszedł Piotr i patrzy teraz na oboje) Jeżeli nie będzie to twój kaprys, Piotrze, i dojdą mnie stąd dobre wieści... *(zwraca się do Ireny)* powinszuję ci, Ireno! *(powoli kieruje się w głąb mieszkania)*

PIOTR

(woła za Andrzejem) Przyjmuję twoje wyzwanie, mistrzu Andrzeju!

SCENA 6.

IRENA — PIOTR

PIOTR

Tak jest lepiej... Naturalnie!... Okrążyć dokoła ostrożnie, bo mogłoby dojść do zderzenia... A po cóż doprowadzić do katastrofy!...?... Gdy Andrzej przechodził tu obok mnie, skrzyżowały się nasze spojrzenia... Teraz rozumiem, czemu usuwa się z tej akademji i odjeżdża. Nie zawinił tego jedynie pamflet Giżyckiego!... Zaczęło się to już w dniu mojego powrotu, gdy za oknami temi zabrzmiał okrzyk młodzieży; „Niech żyje mistrz Piotr!“... Jakto?

Nie mistrz Andrzej?... Wiwatują na cześć następcy? W obecności zasłużonego, starego mistrza?... Biedna Klaudyna!... Nie mogła przewidzieć, ile złego wyniknie z przygotowań, bym objął kierownictwo akademji... Otóż przekonałaś się, moja droga! Wzajemne pretensje młodych i starych objawiły się tu w takiej formie... A powtarza się to na całym świecie!... Tutaj niby poszło o wolną akademję... *(po chwili)* Cóż więc mam teraz począć, Ireno?

IRENA

Choćbyś ty stąd odjechał, Andrzej tu nie zostanie. *(po chwili)* ...Uczynisz Piotrze podług swojej woli.

PIOTR

Podług „twojej" woli! Na razie zwyciężyłaś!

IRENA

To ty Piotrze zwyciężyłeś. Podaj mi rękę, jak przyjaciel i druh.

PIOTR

Nie tak! Jesteś mi żoną i kochanką.

IRENA

Piotrze mój!...

PIOTR

Tak... tak, Ireno!... Możesz triumfować...

IRENA

...Piotrze??...

ZASŁONA

·DRUKARNIA·
„DZIENNIKA POLSKIEGO"
• WE LWOWIE •